Nr. 28. **Poznań, dnia 14 Lipca 1907 r.** **Rok XI.**

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,60 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 35. Telefon Nr. 1865. **Ogłoszenia:** od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Szkoła ludowa.

W dwóch pierwszych artykułach naszych zwróciliśmy Czytelnikom naszym uwagę na to, że 1. między szkołą ludową w Prusiech a rodziną polską wręcz krańcowo przeciwne panują zapatrywania na rzecz wychowywania i kształcenia dzieci, i że 2. między dziećmi a nauczycielem istnieje przepaść językowa, która przeszkadza docieraniu nauki szkolnej do duszy i do serca dziecka.

Przechodzimy dziś do trzeciego pytania: czy nauka w szkole ludowej pomimo wszystkiego osięga jakieśkolwiek rezultaty czy nie?

Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa. Gdybyśmy bowiem z góry i kategorycznie zaprzeczyli jakimkolkolwiek rezultatom nauki szkolnej, to rozminęlibyśmy się z rzeczywistą prawdą. Ośm lat „dresury" muszą pozostawić za sobą skutki; nauka szkolna musi osięgać jakieś rezultaty — pomimo dwóch różnic dzielących ją od rodziców i od dzieci.

Rzecz inna atoli, czy rezultaty te: 1. są dodatnie czy ujemne? 2. czy są trwałe? 3. czy zadawalają strony interesowane? — Odpowiemy na pytania te po kolei.

Jeżeli szkole chodzi o proste wyuczenie dzieci czytania i pisania niemieckiego, jeżeli chodzi o wpojenie im pewnej sumy słów niemieckich, których dzieci używają wtenczas, gdy nauczyciel je pyta: „was ist das" — pokazując równocześnie przedmiot odpowiedni, jeżeli chodzi o wkucie dzieciom kilku dat z historyi Prus i Rzeszy niemieckiej, jeżeli chodzi o to, aby dzieci wiedziały, jak się nazywają wszyscy synowie i jedynaczka pary królewskiej; dalej jeżeli chodzi o nauczenie liczenia po niemiecku, o dodawanie, odciąganie, mnożenie, o pokazywanie na mapie pewnych miast, biegu rzek, gór, mórz i t. d. — to nie wahamy się twierdzić, że przez 8 lat dużo tych rzeczy można w pamięć dziecka wpoić.

Dzieci więc, chodząc do szkoły umieją czytać i pisać po niemiecku, umieją liczyć po niemiecku do tysiąca, miliona, pokazywać rzeki, góry, morza... Każmy jednakże chłopcu, który wyszedł ze szkoły napisać list po niemiecku, nie dość tego, podyktujmy mu ten list słowo w słowo, a znajdziemy w nim tyle błędów, że pozostanie tylko jeden wniosek: chłopiec ten *treści* pisanych przez siebie słów nie rozumie, a co za tem idzie: *nie umie po niemiecku.* Nie dość bowiem pisać i mówić po niemiecku, trzeba to, co się pisze i co się mówi, — rozumieć!

Wniosek stąd co do rezultatów nauki szkolnej jest taki: *ilościowo* — szkoła osięga rezultaty, *jakościowo* — rezultaty nader wątpliwą posiadają wartość.

Oprócz naukowych stara się szkoła także o rezultaty wychowawcze, t. j. chce w dzieci wpoić potrzeby porządku, szacunku dla starszych i dla władz, zamiłowanie i szacunek dla nauki, pragnienie dalszego kształcenia się.

Otóż pod tym względem rezultaty usiłowań szkoły jeszcze bardziej są nikłe aniżeli pod względem naukowym. Jeżeli chodzi o potrzeby porządku, to dziecko przyzwyczaja się doskonale o pewnym czasie przychodzić do szkoły, utrzymywać jako tako książki w ładzie i czystości, uczęszczać z dnia na dzień, a więc regularnie do szkoły, lecz nie *z zamiłowania* do rzeczy samej, tylko — *z obawy przed karą.* A już o tem, ażeby dzieci zasady tego szkolnego porządku ze szkoły przenosiły na późniejsze życie — mowy niema.

Czy dzieci szanują starszych i władze?

Rozpocznijmy od samego nauczyciela. Strejk szkolny ujawnił nie tylko brak szacunku dla nauczyciela u dzieci, nie tylko zwykłą miarę ochoty do psocenia się nauczycielom, ale często oznaki uczuć więcej aniżeli przeciwnych do uczuć szacunku i miłości, — i nie tylko *chęć psocenia*, ale raczej *chęć dokuczania* nauczycielowi. A co najważniejsza, dzieci to robiły samorzutnie. Bo, choć rodzice zakazywali dzieciom odpowiadać w religii po niemiecku, to nie śniło im się wcale, dzieci przeciwko nauczycielom podburzać.

Nauczyciel więc nie ma szacunku u dzieci, musi sobie nawet posłuch wywalczać groźbą kar i kija. Ten brak szacunku dla nauczyciela przenosi się u dzieci szkolnych także na wszelkie inne władze i — przechowuje się oczywiście daleko po za ławy szkolne. Szkoła pod tym względem osięga więc rezultaty wręcz przeciwne od tych, które osięgnąć pragnie.

Jeżeli atoli dzieci szanują starszych, to czynią to dla tego jedynie, że w naturze dziecka tkwi pewne poszanowanie dla wieku, a powtóre dla tego, że rodzice je tego uczą.

Czy może dziecko w szkole nauczyć się kochać naukę, czy nauka szkolna może i czy budzi w niem pragnienie dalszego kształcenia się?

Na to na podstawie doświadczenia jest tylko jedna jedyna odpowiedź: — *nie!*

I tu przechodzimy do drugiego i trzeciego pytania: czy owoce nauki szkolnej są trwałe — i czy strony interesowane są z nich zadowolone?

Otóż wiadomo powszechnie, że dzieci, które zaledwie ze szkoły wyszły, po kilku tygodniach o wszystkiem, czego się w szkole nauczyły, zapominają. Dowód to *nietrwałości* owoców nauki szkolnej. Przyczyny jej szukać należy w tem, że dzieci naukę

szkolnej nie pokochały, że książkę, z której uczyły się w szkole, czemprędzej ciskają w kąt, rade z tego, że pozbyły się przymusu, który nie radość, ale przygnębienie im sprawiał, nie uciechę — ale smutek, nie zadowolenie — ale wstręt. By zdobytą naukę zachować, by na niej budować dalej, trzeba się nieustannie uczyć. Które z dzieci uwolnionych z obecnej szkoły robi to?

. . . .

Jakie może być zadowolenie z takich rezultatów nauki szkolnej?

Trzy strony nauką szkolną bezpośrednio są interesowane: dzieci, rodzice i nauczyciele. Otóż ani dzieci, ani rodzice z rezultatów nauki szkolnej nie są zadowoleni. Osobno tego udowadniać nie potrzeba.

Gdy chodzi o nauczycieli i władze, trzeba przyjrzeć się ich opinii. Otóż w czasie strejku wydali p. J. Rassmann, rektor i inspektor miejscowy z Główny i niejakiś R. Meissner na temat „Szkoła na niemieckim wschodzie“ — i „polski“ strejk szkolny w świetle prawdy“ broszurki, w których rezultaty szkolne nazywają: *zadawalniającymi.* Dla czego? — Rzecz prosta. Władze chciały w pierwszym rzędzie pozbawić społeczeństwo nasze: — *możności uczenia się po polsku.* I to się władzom udało dzięki usunięciu nauki języka polskiego ze szkoły.

Jeżeli zaś władze zadawalniającymi nazywają i rezultaty z nauki szkolnej, to dla tego jedynie, że — opinia polska innego jest zdania. Jest to więc twierdzenie, które bez względu na prawdę i istotny stan rzeczy przeznaczone jest na to, ażeby przeciwważyć twierdzeniom polskim. Cel władz jest jasny — jest polityczny, bo w dzielnicach polskich wszystkie instytucye państwowe celowi temu służyć muszą — a więc i szkoła. Gdyby zaś szkoła słuszność przyznała twierdzeniom polskim, wtenczas wprowadziłaby rząd w ambaras, — zachwiałaby racyonalnością jego germanizacyjnej polityki: bo na cóż germanizować, jeżeli nie było się zdolnym kogośkolwiek zgermanizować? Bo na cóż germanizować, jeżeli nie można na podstawie fałszywych przypuszczeń — chociażby tylko łudzić się widokami na przyszłość?! Otóż twierdzenie, że szkoła osiąga pewne rezultaty pod względem naukowym, jest takiem łudzeniem się na przyszłość!

— — — — — — — — — —

Czy społeczeństwo polskie ma możność pozbawienia kół rządowych pruskich — tych złudzeń?

Zasługa i uznanie.

W twardej walce naszej o chleb, o ziemię bywają od czasu do czasu przebłyski jaśniejsze. I gdy tak spoglądamy na przebieg tej walki wstecz, to zdaje się nam, jakobyśmy często wśród niej widzieli wyraźny znak Opatrzności, która po klęsce zlewa na nas promień pociechy — albo często przed klęską wzmacnia nas na duchu niespodziewaną zdobyczą.

Widzimy ten objaw Opatrzności i w tem, że tuż przed wieścią o zatracie *Gorynia* w Prusach Zach. przez spółkę *Leon Osowski* i *Stefan Krauze,* z których pierwszy był właścicielem, drugi agentem czy podsuniętym pośrednikiem — rozeszła się po ziemi naszej radosna wieść: **p. Marcin Biedermann kupił Modrze, majątek wynoszący 5000 mórg** pod Czempiniem z rąk niemieckich. Tam strata, tu zysk, tam smutek, tu pociecha — oto losy naszej walki. Dziękować Bogu, że od lat kilku straty nasze są mniejsze od zysków.

Czyja w tem zasługa?

Społeczeństwo nasze zrozumiało dążności polityczne Prus, wie do czego one zmierzają. Straszne „ausrotten“ pobudziło nas do obrony, do przeciwdziałania.

Naród Polski

pod obcem panowaniem.

54)

Opowiedział

Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Innego rodzaju były stowarzyszenia wileńskie. Jeszcze w roku 1817 Kazimierz Kontrym, żołnierz Kościuszkowski założył *Towarzystwo Szubrawców* z filią w Krzemieńcu. Wydawało ono *Wiadomości brukowe,* które bez miłosierdzia chłostały: pijatykę, karciarstwo, pieniactwo, upodobanie w tytuniach, wstręt do czytania, a głównie uciemiężanie ludu wiejskiego. W piśmie tem górował swymi satyrycznymi artykułami Jędrzej Śniadecki, prezes towarzystwa. Młodsze pokolenie, uczniowie uniwersytetu wileńskiego, utworzyli w tym samym czasie *Związek filomatów* t. j. kochających naukę. Założycielami byli: Adam Mickiewicz, Jan Czeczot, Józef Jeżowski, Onufry Pietraszkiewicz i szczególnie lubiany przez wszystkich Tomasz Zan. Członkowie tego związku tajnego oddziaływali na uczącą się młodzież i nakłaniali ją do pracy dla dobra ojczyzny, do nauki i cnoty. W roku 1819 powstał na wpół tajemny *Związek przyjaciół,* a z niego utworzyło się już jawne *Towarzystwo promienistych,* które urządzało szczególnie sławne zebrania i majówki. Wyborowa młodzież wymienionych towarzystw założyła jeszcze *Towarzystwo filaretów,* czyli kochających cnotę. Ruch ten i rozwój towarzystw bardzo korzystnie wpłynął na młodzież. Nie było już bezmyślnych rujnujących zdrowie pohulanek nocnych. Przestali rej wodzić bogaci paniczykowie, a kierownictwo obejmowała młodzież uboga lecz zacna, zdolna i pracowita, ze szczególnem zamiłowaniem zwracając się do badań przeszłości, z myślą odrodzenia ojczyzny. Nadewszystko porywał ją ku sobie wykładający na uniwersytecie historyę (od roku 1820) gorący patryota Jaochim Lelewel.

Ale ten ruch na Litwie, budzący ducha narodowego i szerzący polskość, drażnił Nowosilcowa, który zwrócił się do w. ks. Konstantego mającego także zarząd Litwy z takiem ostrzeżeniem:

Wasza Cesarska Mość, uniwersytet wileński jest niebezpiecznem gniazdem rewolucyi, które zniszczyć należy![1])

I wnet wyjechała do Wilna komisya śledcza z Nowosilcowem na czele i zaczęła haniebnie znęcać się nad młodzieżą, bijąc ją, głodząc i męcząc w celu wykrycia spisków. Porywano dzieci o północy z domów rodzinnych, chwytano je na ulicy, w szkole, w kościele. To też ścigani chłopcy wyskakiwali z okien, łamali sobie nogi, podrzynali gardła, popadali w obłęd umysłowy. Ośm klasztorów zapełniło się młodymi więźniami. Złożono z urzędu najznakomitszych profesorów: Lelewela, Daniłowicza, Gołuchowskiego i ks. Bobrowskiego. Mnóstwo młodzieży i starszych uczniów wywieziono w głąb Rosyi, i na Sybir i oddano do wojska. Wysłani do Rosyi zostali filomaci: Zan, Czeczot, Mickiewicz [2]), Suzin, Malewski, Kowalewski,

[1]) Polacy rodzą się Jakobinami, — mówił Nowosilcow — rewolucya jest we krwi tego narodu, Polacy ssą ją z mlekiem swoich matek. (Sokołowski, IV, 1462).

Najbardziej krwawi republikanie z czasów pierwszej rewolucyi franc. (od r. 1789) zwali się Jakóbinami od klasztoru św. Jakóba, gdzie się zgromadzali.

[2]) Mickiewicz cierpiał wtedy wiele i wywożony był do Odesy, Moskwy i Petersburga (1823); te swoje cierpienia i prześladowania młodzieży upamiętnił on w znakomitym utworze, trzeciej części *Dziadów.*

Obrona nasza przyoblekła się w formę czynów, których dokonują już to organizacye zbiorowe, jak spółki, już to jednostki. Miarę doniosłości tych zysków trzeba mierzyć przeciwstawieniem jej siły wroga naszego. Nie należy na oku mieć tutaj tylko samej komisyi kolonizacyjnej, samych landbanków i różnych spółek niemieckich, mających za zadanie ułatwianie gospodarstwa i kredytu Niemcom, ale trzeba pamiętać o tem szczególnie, że za temi instytucyami stoi władza państwowa, stoi rząd, a za rządem opływające w majątek szerokie koła niemieckiego społeczeństwa w Prusiech, więcej aniżeli 10 razy od nas liczniejszego i bogatszego.

Gdy to wszystko zważymy, gdy przeciwstawimy tej przeważającej siłą i majątkiem potędze nasze szczupłe szeregi, gdy uprzytomnimy sobie, że za nami nie stoją żadne czynniki obce, że znikąd nie mamy cudzej pomocy, że raczej wszystko co czynimy, to czynimy wyłącznie o własnych siłach — że skarbom komisyi kolonizacyjnej przeciwdziałać mogą tylko grosze wdowie zaoszczędzone, odjęte sobie nieraz od ust, a zdobyte w pocie czoła dwojgiem rąk gołych — to przyznać musimy, że temi siłami, i temi środkami, które mamy, dużośmy zrobili.

Zrobiliśmy dużo, pomimo że w szeregach naszych wielu znalazło się takich, których imię i nazwisko uznano za godne — sit venia verbo — „Czarnej księgi“ — dużośmy zrobili, pomimo, że często opinia nasza nie idzie jeszcze zwartem kołem przeciwko sprzedawczykom — dużośmy zrobili tem bardziej, że opinii naszej potępiającej sprzedawczykostwo brak potwierdzenia z tak wysokich ust, jak cesarz Wilhelm II, który *sprzedaż ziemi* ze strony Niemców na korzyść Polaków nazwał publicznie przy dźwięku surm wojskowych — *zdradą narodową*.

Tak, taką miarą musimy mierzyć zasługi tych wszystkich, którzy w walce naszej borykają się z trudnościami i przeciwnościami, by nie tylko wstrzymać zalew i rozpęd germanizacyi, ale by zdobyć dla społeczeństwa naszego palmę zwycięstwa.

Taką miarą mierzyć musimy zasługi bądź to wysiłków podejmowanych zbiorowo, bądź też przez pojedyncze jednostki.

Niewątpliwie pierwsze wśród tych wszystkich wysiłków miejsce, pierwsze miejsce zasługi i uznania należy się p. — *Marcinowi Biedermannowi*. Od lat już praca jego na polu walki dodatnie dla społeczeństwa naszego przynosi owoce — od lat imię jego wraz z odgłosem o kupnie ziemi z rąk niemieckich rozbrzmiewa wśród społeczeństwa naszego. I nie narazimy się na zarzut przesady, jeżeli powiemy, że z wszystkich imion, jakie szczególnie w latach ostatnich nabrały rozgłosu w znaczeniu ze wszech miar dodatniem, jakie wyszły z ciasnego partykularza dzielnic zaboru pruskiego i równie dobrym cieszą się dźwiękiem w dwóch innych zaborach jak u nas — że najgłośniejsze jest imię p. Biedermanna.

Damy tutaj krótką jego sylwetkę — fotografię p. Biedermanna znajdą czytelnicy w majowych numerach „Pracy“, z czasów procesu w Pile, gdzie oskarżyciel urzędowy i publiczny powołał go za kratki pod zarzutem oszustwa. Wynik procesu powszechnie jest znany — powszechną też wzbudził w społeczeństwie naszem radość, że sprawiedliwość zwyciężyła, że niewinnie oskarżony z pod wstrętnego i przykrego zarzutu został uwolniony. Radość ta stąd tem większa, że wyrok potwierdził dążenie społeczeństwa naszego, które bronić się chce środkami, na których nie może nawet z poręki prawa pruskiego — ciążyć zarzut kryminalny. Cel, środki obrony naszej, i obrońcy nasi mają stać wobec opinii nam wrogiej czyści — mają stać po-

---

Pietraszkiewicz, Budrewicz. Kuratorem szkół po Czartoryskim, który oburzony złożył ten urząd, został Nowosilcow. Od tego czasu uniwersytet wileński stracił swoją świetność.

Dnia 1 grudnia 1825 roku umarł w Taganrogu przedwcześnie cesarz Aleksander I, nie poznany przez Rosyę, która uważała, że w panowaniu swem zboczył z właściwej drogi. Ale Polska pomimo późniejszej zmiany jego usposobienia, zachowała go we wdzięcznej pamięci za to, co dla niej zrobił. Po nim wstąpił na tron drugi brat jego Mikołaj I, nie mający wcale wzniosłych pragnień Aleksandra, człowiek przejęty na wskroś swą despotyczną władzą, przytem niezwykle srogi i nieugięty. Postanowienie, z jakiem rozpoczął swoje panowanie, było:

— Ukrócę wszędzie dążenia wolnomyślne, stłumię wszelkie spiski, zniosę odrębność Królestwa!

W chwili objęcia tronu przez niego wybuchł w Petersburgu spisek t. zw. *Dekabrystów*, zawiązany w Kijowie w armii rosyjskiej, a mający na celu: strącić z tronu rodzinę carską i ogłosić rzeczpospolitą. Przywódzcami spisku byli oficerowie: Pestel, Bestużew, Murawiew Apostoł, Rylejew i inni. Lecz spisek ten został zaraz wykryty i stłumiony, a przywódzcy powieszeni na szubienicy. Z zeznań tychże dowiedział się rząd o istnieniu w Królestwie *Towarzystwa Patryotycznego*, które porozumiewało się z *Dekabrystami*. Nastąpiły wskutek tego aresztowania we wszystkich dzielnicach Polski, nawet w Poznańskiem. Chciał rząd zaraz postawić winnych przed sąd wojenny, lecz cała Polska oburzyła się na to, a minister Lubecki oparł się temu stanowczo i wszedł w zacięty spór z Nowosilcowem. Doprowadził on wreszcie do tego, że stosownie do konstytucyi oddano winnych pod sąd sejmowy t. j. senatu. W oczekiwaniu wyroku Warszawa cała przybrała postawę poważną i żałobną, kościoły napełniły się zaniepokojonym ludem, a senatorowie mówili smutnie między sobą:

— Sądzić będziemy rodaków naszych o taką zdradę stanu, że kochali własną ojczyznę!

I stanęli przed sądem: podpułkownik Seweryn Krzyżanowski, senator-kasztelan Stanisław Sołtyk, urzędnicy Rady Stanu: Andrzej Plichta i Albert Grzymała, oprócz nich: Majewski, ksiądz Dembek, Zabłocki i Załuski.

Senat, którego duszą był zacny książę Czartoryski wydał na oskarżonych sprawiedliwy wyrok, jako na winnych zakładania tajnych stowarzyszeń i wymierzył im mniejsze kary.

— Oskarżeni nie są winni zbrodni stanu, — dowodzili sędziowie — bo opierali się na postanowieniach traktatu wiedeńskiego i na szczerych przyrzeczeniach króla polskiego Aleksandra; chcieli oni tylko utrzymania swej narodowości i nie popełnili żadnego czynu, któryby państwu zagrażał!

Miał ten wyrok bardzo wielkie znaczenie moralne orzekał bowiem, że wina leży po stronie rządu, który pogwałcił dane zobowiązania, a chęć utrzymania praw poręczonych Polsce nie jest zbrodnią stanu.

Ale rząd wstrzymał ogłoszenie tego wyroku i kazał głównych obwinionych osadzić w podziemnych więzieniach w Petersburgu, Krzyżanowskiego zaś na Sybirze, gdzie też umarł w Tobolsku (w roku 1839) [1].

[1]) Lewicki 428—432; Limanowski 107—142; Sokołowski IV, 1477

(Ciąg dalszy nastąpi.)

nad zarzutami. Do takich ludzi należy i p. Biedermann.

Pan Marcin Biedermann przekroczył zaledwie czterdziestkę. Znajduje się więc w sile wieku. Sympatyczne jest u niego to szczególnie, że nie urodziwszy się „wysoko“ i „szlachetnie“ własną pracą, własnym trudem, własnemi zdolnościami wybił się tak wysoko. Rzutkość, energia, sprężystość jego są dziś prawie przysłowiowe.

Dawno to jak kupił Ossowo? — potem Dalbosławice! — a teraz, wprawiwszy w zdumienie szczerością zeznań swoich w Pile koła niemieckie — nabył *Modrze!* Tego nie dokonał ani „Bank Ziemski“ z milionowym kapitałem nakładowym — ani żadna ze spółek czy banków parcelacyjnych.

Otóż dla tego to słusznie jest i sprawiedliwie podnieść jego zasługę i oddać jej zasłużone uznanie, że sam jeden, w pojedynkę o własnych siłach prędzej i więcej robi na ratunek ziemi naszej, aniżeli tylu i tylu innych mądrych i utytułowanych dyrektorów zbiorowemi siłami.

Społeczeństwo nasze wobec tej zasługi p. Biedermanna nie powstydzi się uchylić czoła. My od siebie zaś życzymy mu z całego serca dalszych na obranej drodze sukcesów.

Z Królestwa Polskiego.

Warszawa, 8-go lipca 1907

(Pod znakiem jedności. Jenerał Skałłon działa. Jubileusz wioślarzy).

Według zmienionej ustawy wyborczej Królestwo Polskie wybiera do Dumy 12-tu posłów, oprócz tego ludność rosyjska wybiera dwóch posłów własnych. W szczegółach zmiana na naszą niekorzyść wygląda tak: gdy do Dumy poprzedniej Warszawa miała 2-ch posłów, Łódź 1, gubernia warszawska 5, gub. piotrkowska 5, gub. lubelska 5, gub. kaliska 3, gub. kielecka 3, gub. radomska 3, gub. siedlecka 3, i gub. płocka, łomżyńska oraz suwalska po 2 posłów, do Dumy obecnej Łódź i Warszawa wybierają po jednym pośle i każda gubernia również tylko jednego będzie miała w Dumie przedstawiciela.

W tych warunkach na rosterki partyjne już wcale nie ma miejsca, i dobro publiczne wymaga, aby koła polityczne bez względu na przekonania w rzeczach społecznych zgodziły się na wspólnych kandydatów, aby za zgodnem porozumieniem wybrały do Petersburga najlepszych ludzi, którzyby ujemne skutki swej małej liczby mogli pokryć choć częściowo umiejętnością i poczuciem siły, jaką daje świadomość, że ma się za sobą kraj cały.

Chwała Bogo, takie też utrwala się przekonanie nawet w kołach, w których niechęć do demokracyi narodowej mąci jasność poglądu na potrzeby kraju. Pod wpływem zamachu na prawa polityczne Królestwa, zarówno z kół wolnomyślnych tak zw. postępowych, jak i zachowawczych, odezwały się głosy za porozumieniem się wszystkich żywiołów narodowych kraju i za zgodnem przeprowadzeniem akcyi wyborczej. Bardzo gorąco przemówił w sprawie porozumienia na czas wyborów znany adwokat moskiewski, obecnie jeden u nas z wodzów demokracyi postępowej: Aleksander Lednicki, który chce w nowej koncentracyi stronnictw widzieć nawet socyalistów, o których powiada, że nie godzi się ani im odmawiać polskości, ani usuwać od uczestnictwa w pracy publicznej dla wspólnego nam dobra.

Z kół zachowawczych za zgodą przemawiają oba pisma tej barwy: „Słowo“ i „Kuryer Polski,“ w „Słowie“ szczególnie przekonywująco hr. Konst. Broel-Plater.

Pisma barwy demokratyczno-narodowej są również naturalnie za możliwie daleko posuniętą solidarnością.

Te nawoływania do zaprzestania przekomarzań partyjnych w obliczu wroga, w czasach rosnącego prześlado-

---

Jadwiga z Z. S.

3)

Joachim Lelewel.

Zejdźcie teraz Jagiellonowie, wy, którzy prowadzicie Polskę w złoty wiek i zapisujecie najszczęśliwsze lata życia ludów.

Historyk i badacz przeszłości, Lelewel, teraz wśród historyi żywych pracuje, a praca nie łatwa i nie spokojna.

Nad czołem narodu płonie łuna pożaru, ognia rozpalonego w dniu 29-go listopada!... Słychać szczęk pałaszy, huk kul, wołanie do boju! Pod Warszawą sypią się szańce, — Chłopicki dyktator chce, by powstanie zdusić i zdeptać, jak pochodnię pod jego stopy rzuconą...

Trzeba przeczytać historyę roku 31-go, ażeby zrozumieć dobrze, co się działo w Warszawie i w kraju.

Lelewel w „rządzie tymczasowym“ pracuje. Lelewel jest przy otwarciu sejmu dnia 20 grudnia 1830 roku. A że to u nas, Polaków, wszystko zwykle niezgodą się plecie, tak i posiedzenie sejmowe zabiera dużo czasu, gadania i sił na to, ażeby jedni z drugimi się ścierali.

Barzykowski przemawia ślicznie:

— Naród polski potężny i wolny dziewięć wieków liczył bytu politycznego; lecz znękany pasmem niedoli, uległ przemocy wrogów. Rozszarpany, z rzędu narodów europejskich wykreślony został. Zgwałcone prawa ludu, zdeptane prawo narodu i zniweczona równowaga Europy. Odtąd ciągle walki i wojny, i krew ludzka obficie roztaczaną być musiała. Wrogi naszły Ojczyznę. Kazamaty, kajdany dostały się jej synom w podziale, lecz jeżeli Polak został niewolnikiem, duch polski nigdy ujarzmiony, nigdy zniszczony, być nie mógł.... Dziś znowu otaczamy orły nasze; a gdy naród przyjął rewolucyę za dzieło narodowe, i gdy każdy spieszy na jej obronę, nie szczędzi krwi i majątku, wtenczas rycerstwo jest bez wodza, rząd bez naczelnika.

A tu jedni wołają, iż Chłopicki wodzem, rządem, naczelnikiem, wszystkiem....

A inni znów mówią, że sejm ma kierować i radzić i wolą narodu ożywić całą tę sprawę ważną i wielką.

Lelewel milczał długo i z smutkiem przysłuchiwał się obradom.

A gdy go wreszcie spytano, jakie ma zdanie i czy będzie głosował za dyktaturą, odrzekł:

— W tego rodzaju obradach, jakeśmy dzisiaj mieli, zdania mego objawić nie mogę.

A słowa te zacnego historyka wywarły wrażenie wśród wszystkich, bo rozumieli i poznali, iż godziło się zacząć od zgody i mniej czasu poświęcić na uwielbianie Chłopickiego.

To też jeden z posłów potem rzekł:

— Lelewel milcząc, więcej mówi od nas mówiących.

A kiedy potem marszałek kazał sekretarzowi odczytać manifest, który ma być imieniem sejmu ogłoszony do narodu, Lelewel uśmiechnął się smutnie, powtarzając kilka razy:

— Już nie czas! Już nie czas!...

— Jakto nie czas?

— Co to znaczy?....

— Czy wy nie rozumiecie, iż już sejmu nie ma? Gdyście dyktatora obrali i jego władzę uznali, już zniszczyliście sejm, a sejm teraz nic, najmniejszej rzeczy nie może zrobić, dopóki dyktatora nie złoży z urzędu.

Dopiero teraz zrozumieli posłowie, iż stała się rzecz nowa, iż oni istotnie jako posłowie już pracować nie mogą.

wania stanowią dobry objaw, rokujący pomyślną przyszłość naszej walce i naszym wysiłkom. Rzecz naturalna nie wszystkie pomysły praktycznego przeprowadzenia zgody są wykonalne. Do chybionych rzeczy należy choćby myśl Lednickiego objęcia pierścieniem solidarności socyalistów, którzy u nas są albo cząstką partyi socyalistów rosyjskich, albo stoją na wyraźnie rewolucyjnym gruncie i przeto do polskiej akcyi konstytucyjnej nie mają kwalifikacyi. Trudność porozumienia tkwi także w ostatnim akcie wyborczym, mianowicie w wyborze posłów.

Zarówno przeważająca w kraju opinia, jak wzgląd na Petersburg wymagają przeprowadzenia posłów, którzy już piastowali mandat, to znaczy posłów przekonań demokratyczno-narodowych; zmiany jakiegokolwiek kierunku w składzie osobistym poselstwa nie odpowiadają życzeniom większości społeczeństwa, które z polityki dawnego Koła jest zupełnie zadowolone, nie odpowiadają również w wysokim stopniu interesom polityki polskiej, albowiem rząd rosyjski uważał by wycofanie kilku wybitnych demokratów narodowych z trybuny parlamentarnej za objaw niezadowolenia kraju z ich polityki, a więc za dowód skuteczności ciosu, wymierzonego w nas przez ukaz 16-go czerwca. Zatem zgoda mogłaby praktycznie dojść do skutku, gdyby obie słabe zresztą grupy zarówno wolnomyślna jak ugodowo-zachowawcza oddały swe głosy na członków dawnego Koła, same zadawalniając się jakimiś 2—3 mandatami.

Co zaś do samych kandydatur, to z Warszawy stanie do urny wyborczej zapewne b. prezes Koła R. Dmowski, przynajmniej tak można wnosić z jego przemówienia na sejmiku relacyjnym dnia 5-go lipca, na którym b. poseł proklamował dalszą walkę z biurokracyą rosyjską według zasad stosowanych dotychczas. Gubernia warszawska ma dwóch kandydatów Wł. Grabskiego i ks. Gralewskiego, obu ludzi wybitnych; gub. lubelska wyszle Steckiego, o ile tylko ten zechce mandat przyjąć; gub. łomżyńska — Harusewicza; gub. kaliska — Parczewskiego; gub. piotrkowska — Wł. Żukowskiego, o ile ten nie postawi swej kandydatury na Wołyniu i o ile robotnicy odstąpią od własnej kandydatury ściśle robotniczej.

Ponieważ zaś w gub. siedleckiej trzeba będzie przez wzgląd na specyalne tam stosunki religijne wybrać włościanina (b. Unitę J. Błyskosza), zatem rozporządzalnych pozostaje w kraju zaledwie parę mandatów.

Biurokracya rosyjska podniosła u nas głowę i wznawia dawne szpilkowanie społeczeństwa rozporządzeniami, które są raczej dokuczliwe, niż niebezpieczne. Warszawski wielkorządzca jen. Skałłon ostatnimi czasy wydał już parę rozporządzeń prześladowczych. Na zasadzie jednego, które dotyczy gazet, skazał jen. Skałłon prawie wszystkie dzienniki warszawskie na karę 100—200 rubli za jakąś nic nie znaczącą notatkę, w której dopatrzył się szerzenia fałszywych o rządzie wiadomości. Inne rozporządzenie dotyczy specyalnie orzełków polskich, za których wyrób, noszenie lub przechowywanie grozi karą do 3-ch miesięcy więzienia lub do 3-ch tysięcy rubli.

Policya zdwaja i potroja dawną gorliwość w rewidowaniu i aresztowaniu ludzi, co jej zresztą nie przeszkodza istnieć w zupełnej nieświadomości o planach naszych domorosłych rewolucyonistów.

Świeżym dowodem niezdarności policyi, mimo setek hałaśliwych rewizyi po domach spokojnych mieszkańców, jest zamach sobotni na pociąg kolei warszawsko-petersburskiej. Terroryści, jak za najlepszych czasów rewolucyi, napadli na pociąg wojskowy między stacyami Łapy i Szepietowo, podłożyli cztery bomby, granat, obrzucili pociąg gradem kul rewolwerowych, i tylko złe działanie bomb oca-

---

Dyktator, najwyższy władca, rozpoczął dziwnie działać.

Kiedy naród podniósł broń — chciał wroga pokonać i czuć się wolnym w Ojczyźnie. A Chłopicki przyjąwszy władzę naczelną, chciał wojnę stłumić.

Posyłał listy do Petersburga, układy zawierał, myślał, radził, a w istocie nic nie robił.

Lud, mieszczaństwo, młodzież, wszyscy czuli niezadowolenie i wołali:

— Nie chcemy ugody, chcemy sprawiedliwości!...

Lelewela postać była znana w Warszawie. Znana i lubiana.

Cichy ten pracownik, znakomity myśliciel, ulubiony przez tych, którzy się do niego zbliżali; miał wielu takich zapalonych wielbicieli wśród Warszawiaków, którzy go nawet chcieli wodzem powstania uczynić.

A kiedy Chłopicki zniechęcał swojem postępowaniem, od czasu do czasu wołał ktoś:

— Lelewel będzie dyktatorem!

— Lelewela obrać kierownikiem!...

—Brat Lelewela zbiera oddział powstańców, więc on będzie dowódcą!...

Tak się głosy wzmagały i tak nad głową cichego pracownika wzbierała się burza.

7.

Aż jednego dnia stała się rzecz niesłychana. Lelewela zaaresztowano.

Nie wzięli go do więzienia carscy sołdacy, lecz Chłopickiego wysłańcy...

Na wieść o tem, Warszawa zapłonęła gniewem. Najwyższa rada, oburzona i rozgniewana, złożyła swe mianowania.

— Nie będziemy pracowali pod rozkazami tego, który członka Najwyższej rady aresztuje, zawołał Adam Czartoryski, a inni, Barzykowski, Ostrowski i Dembowski, to samo rzekli.

— Jenerale!... wpadając wołał Nabielak blady i gniewny: — cóżeś zrobił!... Lelewela kazałeś zamknąć! Tego ulubieńca Warszawy, tego zacnego pracownika! Co on ci zawinił?

A minister sprawiedliwości rzekł surowo:

— Odmawiam posługi śledczej... życie Lelewela zanadto jest czyste i jasne, bym je w aktach miał rozpatrywać...

Zaś po Warszawie szła wieść co raz szybsza i co raz więcej niezadowolnienia ku Chłopickiemu niosąca:

— Lelewel zamknięty.

Nie było innej rady jak zaraz nazajutrz Lelewela puścić...

Tak też Chłopicki uczynił.

A Lelewel, jak pisze „Mochnacki“ wrócił do swoich książek i cichej pracy.

W Warszawie wreszcie zrozumiano, iż Chłopicki zawiódł nadzieje...

A gdy 7-go stycznia, Wyleżyński przywiózł wieść, iż wojska rosyjskie idą ku Polsce, zaczęto u nas wołać:

— Nie będziemy jak tchórze czekać, aż do nas przyjdą, musimy iść naprzeciw tych bohaterów.

Wtedy Chłopicki obrażony zrzekł się dyktatury, a na sejmie 19-go stycznia 1831 roku wybrano Radziwiłła naczelnym wodzem wojsk....,

lilo oddział wołyńskiego pułku gwardyi od okropnej katastrofy.

Policya zajęta pogonią za orzełkami nic o planach terrorystów widocznie nie wiedziała.

Wspominałem wyżej, że ogół społeczeństwa jest zupełnie z polityki Koła polskiego zadowolony. Otóż najlepszym dowodem zaufania ogółu do polityki obecnych jego kierowników było przyjęcie posłów warszawskich na sejmiku relacyjnym, jaki odbył się staraniem klubu narodowego w wielkiej sali komisyi obywatelskiej.

Obu posłów witano nader życzliwie, zaś posła R. Dmowskiego nawet owacyjnie.

Według zdania posła R. Dmowskiego nowa ustawa wyborcza jest ze strony rządu próbą zepchnięcia sprawy polskiej z widowni politycznej państwa rosyjskiego; mniema, że próba ta się nie powiedzie, albowiem skoro tylko w Rosyi będzie Duma, a w niej Polacy — zawsze nasz głos będzie miał swe znaczenie i rząd w nas swego przeciwnika, dopóki nie zacznie przemawiać do nas językiem ustępstw.

Opis jubileuszu warszawskiego towarzystwa wioślarskiego, którego najciekawszą cząstką były regaty na Wiśle przy współudziale także gości z Poznania podam dla braku miejsca w liście następnym. Tu tylko zaznaczę, że w biegu jednowiosłówek — „Scullingów" Poznańczyk Witold Wejchmann pokonał Warszawiaka Jul. Czalkowskiego, wywołując ze zgromadzonej na przystani publiczności pod adresem Poznania serdeczną owacyę.

Z.

Listy lwowskie.

Lwów, 6 lipca 1907

(Galicyjskie wybory przed sądem parlamentu; sesya sejmowa; organizacye narodowe.)

Dyskusya o wyborach galicyjskich, wynikła wskutek wniosków nagłych posłów radykalnych, dyskusya, która miała zdyskredytować Polaków, Koło Polskie, stosunki galicyjskie skończyła się fatalną klęską wnioskodawców. Wnioski w tej mierze stawiali: Breiter, o którym publicznie mówią, że mandat swój kupił; socyaliści, którzy terrorem brutalnym walczyli; Rusini, przy których wyborach padły trupy, gdzie strzelano do komisarzy rządowych. Wnioskodawcy rozpowiadali stare narzekania na „polnische Wirtschaft," powtarzali steki oklepanych frazesów o rzekomych nadużyciach władz rządowych, które miały rzekomo popierać kandydatów polskich. Mówcy z Koła Polskiego w znakomity sposób przedstawili niekompetencyę Izby posłów w tej sprawie, która faktycznie należy do komisyi legitymacyjnej, przedstawili w dosadny sposób, a rzeczowy i opierający się na faktach, jakiemi drogami szli radykali, zyskując mandaty, jakim posługiwali się terrorem i gwałtem. Głosowanie przyniosło nieoczekiwane przez radykałów skutki. Wnioski padły mniejszością z górą 100 głosów, zachowaniem się swojem stracili radykali, a zwłaszcza Rusini, wszelkie sympatye u posłów innych narodowości. Ordynarne obelgi, plugawe wyzwiska, bezecne insynuacye były ich bronią; a skoro Polacy zwrócili prezydentowi Izby uwagę na to nielicujące z godnością parlamentu zachowanie, Rusini poczęli śpiewać pieśni, ziejące nienawiścią ku Polakom. Zachowanie takie posłów, mających pewne pretensye do kultury i inteligencyi, oburzyło do cna wszystkich poważniej myślących ludzi; Niemcy, do których się Rusini umizgali, i Czesi, których również bardzo Rusini kokietują, odwrócili się od nich, widząc, jakich ci w walce narodowej używają środków, słysząc ich brutalne i hajdamackie przemówienia w rodzaju p. Budzynowskiego, który oświadczył w Izbie, że na Polaków jest jedyny środek: wywieszać ich na wierzbach!

Rozpoczęła się żywsza praca, nadzieja wstąpiła w serca tych, którzy już sądzili, iż Chłopicki wszystko złamał.

Młodzież litewska z największym zapałem zwróciła się do Lelewela, prosząc, by kierował pracą złączonych oddziałów. Zawiązano towarzystwo tak zwane „braci zjednoczonych," a Lelewel został prezesem.

Dnia 20-go stycznia na posiedzeniu sejmu, delegaci z Litwy złożyli w ręce Lelewela adres i prosili o to, ażeby przemówił za tą krainą, która szczerze i chętnie chce w walce o niepodległość dopomagać.

Lelewel wtedy gorąco i serdecznie za Litwą się ujmował:

— Jeżeli jak za Łokietka szczupłe są nasze granice, równie strasznymi otoczone nieprzyjaciołmi, niemniej jednak potężne siły narodowe rozniecone zostały, a daleko liczniejsze do łączenia się z Litwą pobudki. Występujemy z pełnem zaufaniem w słuszności sprawy naszej odzyskiwać byt i prawa nasze, i winniśmy zwrócić baczność na ujarzmionych rodaków; nie godzi się nam ich zaniedbywać; dlatego składamy akt w imieniu Litwinów, abyście wyrzekli, żeście o nich niezapomnieli, że ich usiłowania waszym manifestem wspierać będziecie!"

Wszyscy przyjęli akt Litwy z radością i zdawało się, że serca Polaków stały się bliższe i cieplejsze dla Litwinów.

Posiedzenia sejmowe odbywały się dalej...

Aż 25-go stycznia, wstał Jan Ledóchowski, poseł z Jędrzejowa i zawołał:

— Niemasz Mikołaja!...

— Niemasz Mikołaja! huknęło sto kilkadziesiąt posłów!...

„Krzyczcie na wszystkie cztery świata strony,
„Niechaj od jednej do drugiej krawędzi,
„Głos nasz przez morza i lądy popędzi:
„Na głowie cara, nie masz już korony!
„Kradzione złoto ze skroni mu zdarto,
„Polski wojownik berło mu wytrąca,
„Ludy spółbratnie! od wieków tysiąca,
„Dzieje podobne nie zabłysły kartą."

8.

Walki bohaterskie skończyły się...

70,000 Polaków z bronią w ręku musiało się poddać.

Bolesne, nad wyraz bolesne wspomnienie dla nas, którzy o tem czytamy.

Lecz pomyślmy, co się musiało dziać w sercach tych, którzy wówczas na to patrzyli, a ratować i podźwigać upadającego powstania nie mogli!!....

Teraz rząd carski zaczął na nowo gnębić i dokuczał, a gnębił i dokuczał jeszcze z większą jak przedtem wściekłością, bo widział i czuł, iż Polska jest wyczerpana, osłabiona i zbolała, a kto był w niej najdzielniejszy, poszedł na wygnanie.

Utworzyli Moskale „najwyższy sąd kryminalny" i wydawali wyroki za wyrokami. Gdyby byli mogli, byliby napisali:

— Wszystkich Polaków powiesić!... A chociaż takiego wyroku na piśmie nie dali, mieli go w myśli zapewne.

Tak też zaraz wydano wyrok skazujący Lelewela na ścięcie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Podobnie jak nie udał się radykałom atak na Polaków o wybory, nie udał się też socyalistom zamach na autonomię krajów koronnych. Socyalista Renner (znany jako pisarz polityczny pod pseudonimem Rudolfa Springera) wniósł, aby parlament uznał za konieczną reformę ordynacyi wyborczej w duchu powszechnego głosowania do Sejmów. I ten wniosek upadł. Koło Polskie stanęło na słusznem zupełnie stanowisku, że rozsądzanie kwestyi ordynacyi sejmowej podpada wedle ustaw konstytucyjnych austryackich pod ingerencyę wyłączną Sejmów, że wszelkie wpływy parlamentu na sejmy w tym kierunku są zamachem na pewien samorząd, jaki sejmy krajowe posiadają.

Zresztą sprawa reformy wyborczej do Sejmu galicyjskiego traktowana będzie w nadchodzącej sesyi sejmowej, którą rząd zwołał na 12-go września. W sesyi zimowej, zakończonej w połowie marca, wniesiono kilka projektów reformy. Są wnioski za powszechnem prawem głosowania. Najracyonalniejszym jest wniosek demokratów-narodowych, ogłoszony przez posła Głąbińskiego. Wychodzi z założenia, że powszechne i równe prawo głosowania jest konieczne. Ponieważ jednak Sejm krajowy nie jest dwuizbowy, jak np. Rada państwa, gdzie nad Izbą posłów stoi Izba panów — wnosi prof. Głąbiński, aby pewną rekompensatę Izby wyższej dać w postaci wyboru $^1/_3$ ogółu Sejmu z mających najwyższy cenzus inteligencyi i podatkowy i wirylny (Uniwersytety, dygnitarze kościelni) w kraju. Jesteśmy jednak pessymistami i pozwalamy sobie wątpić, czy konserwatyści, posiadający w Sejmie bezwzględną większość zechcą zgodzić się na powszechne głosowanie; możliwem jest bardzo, że będą starali się stworzyć nową kuryę, piątą, powszechną. Będą to ich ostatnie usiłowania, bo ruch demokratyczny musi stanowczo i bezwzględnie zwyciężyć.

Tymczasem w kraju powstają organizacye narodowe polskie. Skutek to ostatnich wyborów do parlamentu. Swego czasu przed pięciu czy sześciu laty poseł Włodzimierz Kozłowski pozakładał w miastach powiatowych organizacye, te jednak w przeważnej mierze zamarły, nie wiele zaś z nich ostało się; ale za to te, co zostały, okazały i okazują wielką żywotność i energię. Obecnie wszczyna się ruch podobny. Różnica ta zachodzi, że organizacye obecne dotyczą nie tylko pewnego powiatu, ale całego okręgu wyborczego. Społeczeństwo nasze zaczyna wreszcie się przekonywać, że jedynie karnością, organizacyą, spoistością zdoła siebie obronić dostatecznie.

M. N.

Uroczystości sokolskie w Pradze.

Praga, 30 czerwca.

Tysiączne rzesze zbiegły się na 5 zlot sokoli w Pradze. Istotnie zlot sokoli w Pradze — to święto narodowe, w którem uczestniczą wszystkie stany. Ba, nawet wojsko opróżnia swe koszary, pożycza setki karabinów do ćwiczeń, przygotowuje dziesiątki tysięcy pościeli na kwatery. Od pobytu cesarza, który odnowił tradycyę świetności starego zamku na Hradczynie — Praga żyję w ciągłem podnieceniu i entuzyaźmie przyjęć, zjazdów etc. — zlot zaś jest tego podniecenia i tej duszy narodowej największem może napięciem. Czesi są mistrzami w prowadzeniu swej polityki „zagranicznej“ a patron nad południowymi Słowianami, którzy tu wysłali swe reprezentacye, jest oddawna ideałem i cichem pożądaniem królewskiej złotej Pragi.

Benjaminkami publiczności są jednak Francuzi. Ulicami ciągną gromadki Chorwatów, setka Bułgarów, egzotyczności jednak dodaje 5 Czarnogórców w malowniczych strojach i dwu Turków z Algieru. Główne trybuny boiska i samo boisko przedstawiają obraz niezwykły rzeszy wielojęzycznej. Reprezentanci związku gimnastyków angielskich obok gromadki Serbów, Luksemburczycy obok Belgów, gimnastycy paryscy obok 9 Węgrów z Budapesztu i Czechów amerykańskich. Słychać wszystkie słowiańskie języki.

Już od piątku, od wczesnego rana roiło się na boisku, które pięknie ozdobione przedstawiało wspaniały i olbrzymi plac do ćwiczeń. Do zawodów o mistrzostwo czeskiego sokolstwa: na 36 zgłoszonych staje 18 wybornych gimnastyków. Zwycięża Taborek i Vacka.

Wieczorem w teatrze „Narodnim Divadle“ uroczyste przedstawienie „Sąd Libuszy“ Smetany i alegorya

Feljeton.

Jadwiga z Łobzowa: Znana i ceniona ta współpracowniczka pisma naszego wydała świeżo następujące książeczki: 1. *„Moja książeczka“* wierszyki opisujące Polskę — 30 halerzy. 2. *„Paciorek“* — z obrazkami, wierszyki katechizmowe — 40 halerzy. 3. *„Przeczytam“* — kilka gawęd, zajmująca książeczka dla dzieci i ludu — 30 halerzy. Książeczki te polecamy szczególnej uwadze Czytelników naszych. Nabyć je można w księgarni *Gebethnera — Kraków.*

Pamiętniki Kajetana Koźmiana, część I. wyszła nakładem *„Biblioteki dzieł wyborowych“ w Warszawie.* Pamiętniki Koźmiana obejmują czas pełen zaburzeń w Polsce i w Europie, a mianowicie od r. 1780—1815. „Dla współczesnych — piszą wydawcy w przedmowie — stanowią „Pamiętniki“ bardzo cenne źródło do poznania obyczajowości naszej na schyłku 18-go i na początku 19-go wieku. Dają one nam obraz życia ówczesnego, wierny i dokładny. Nadto znajduje się tu mnóstwo pierwszo i drugorzędnych, zawsze ciekawych szczegółów historycznych, dotyczących naszych losów porozbiorowych.“

„Krytyka:“ Numer na lipiec i sierpień obejmuje następujące artykuły: Duch rewolucyi. — Syn słońca (wiersz Józefa Roffera). — Traktat o piekle podhalańskiem (Tadeusz Miciński). — Ruch wolnej myśli II. (Aryos). — Literatura ostatniej doby (Jan Dąbrowski). — Psychologia polityczna (dokończenie — S. Posner). — Z cyklu „Maski“, fragment z „Pieśni miasta,“ z przekładów liryki niemieckiej (Kaz. Wroczyński). — Północ (Tymon Niesiołowski). — Polska racya stanu w sprawie ruskiej (dokończenie — Konst. Srokowski). — W ukryciu (Savitri). — Nowe książki o sztuce (Maryan Olszewski). — Przegląd, sprawozdania naukowe i literackie.

„Przemysłowiec“ Nr. 27 ma treść: Zaległe składki za rok 1907. Tow. Przem. — 625-letni jubileusz cechu szewskiego w Poznaniu. — Jubileusz Tow. Przem. na Wildzie. — Pracujmy nad podniesieniem oświaty w rzemiośle. — Kilka projektów w sprawie związk. zaw. — Kiedyż lepiej nam będzie? — Wystawa okręgowa w Gostyniu. — Po cenie zakupna. — Jak zachować zdrowie. — Amerykańskie obuwie. — Kronika. — Odpowiedzi od Redakcyi.

„Przewodnik Oświatowy,“ organ T. S. L. (Tow. Szkoły Ludowej) w Galicyi zawiera w Nr. 7 (na lipiec) następującą treść: Bursa T. S. L. we Lwowie, przez Józefa Lewickiego. — Polacy w Wiedniu, przez ks. Łukaszkiewicza. — Okólnik Polskiej Macierzy Szkolnej. — „Oświata“ w Wilnie. — „Oświata“ w Kijowie. — Z ruchu oświatowego w Rosyi, przez dra Ma-

narodowa-sokola. Równocześnie w nocy na Wełtawie ognie sztuczne, regaty i oświetlenie mostu Karolowego, teatru etc. Wszystko to razem tworzyło tzw. „Benatską noc,“ a goście zgromadzeni na Zofińskim Ostrowie przypatrywali się przepysznym sylwetom Hradczan, Petrkyna i tysiącom świateł, odbijających się w Wełtawie. Na Zofińskim Ostrowie przemowy. Brak tylko Polaków. Mówią tu po ogródkach i restauracyach o ich nieobecności i tłumaczą rozmaicie. Polacy wśród Czechów i Sokolstwa mają tu licznych przyjaciół a garstkę (24) z Królestwa i 8 z Księstwa, którzy przybyli prywatnie przypatrzeć się uroczystości, oprowadza niestrudzenie znany już Sokołom polskim p. Krzizek, miłośnik pamiątek z r. 1863 i Sokół lwowski p. Distl.

W sobotę 29 czerwca właściwe święto, dzień wystąpienia Sokolstwa czeskiego i puszczenia w ruch karnych i zorganizowanych mas tysięcznych. Rano już odbywały się zawody zastępów. Zastępy zmieniają się jak w kalejdoskopie. Odbywają się próby żup (okręgów) w ćwiczeniach wzorowych. Zlotowi starano się nadać charakter rycerski poniekąd, stąd każda drużyna jakąś broń wybrała sobie do ćwiczeń. Ci ćwiczą karabinami z nałożonym bagnetem, owi maczugą, jakby potężnym buzdyganem — jedni toporkami, inni wreszcie cepami, a i polską lancę, choć skróconą, obrał sobie jeden zastęp za przybór ćwiczebny. Amerykanki czeskie przerabiają swe ćwiczenia chorągiewkami i taneczne reje. Wśród ćwiczących kręcą się sprawozdawcy „Timesa“, „Figara“, „Journal de Debats“, „Słowa Polskiego“ i wielu innych — pracują ustawicznie aparaty fotograficzne. Gimnastyk, sportowiec, czuje się tu jak ryba w wodzie.

Dopiero jednak po południu zaczął się właściwy popis publiczny. Fala 50-tysięczna zalała trybuny i przejścia. Na arenę weszły w strojach ludowych grupy Hanaków „Valachów“ i Słowaków. Zaczęły się tańce. Migają barwne stroje tej żywej etnograficznej wystawy. Pomysł wyśmienity wprowadzenia pierwiastku ludowego, barwnych strojów i tańców; trwały one nieco za długo, ale efekt wielki. Na boisko wkracza fala 8-tysięczna, karna, zorganizowana masa. Huragan zapału. Fala przelewa się, składania rytmicznie do taktu muzyki. Czesi są dumni. Patrzącym, te masy kierowane jedną wolą, zaparły dech w piersi. Myśli z utęsknieniem zwracają się do kraju i porównują — i pytają — a jak tam u nas, jak nasi? Kiedy my tak wystąpimy? Tu oni mają jedną Pragę, są razem — a my? Jakie dziwne refleksye i zestawienie — Sokół w Królestwie rozwiązany, w Prusach 1 i pół rocznem więzieniem karzą za występ Sokoli. Kiedy my taki występ urządzimy i gdzie? Chyba w Warszawie, kiedy wreszcie zawita może lepsza era. Ćwiczenia wolne płyną jedne po drugich. Obrazy trudne, wykonane zgodnie i wzorowo. Odchodzących żegna burza oklasków.

Wchodzą zastępy kobiet z maczugami w liczbie około 2 i pół tysiąca. Mają one wykonać piękne ćwiczenia wraz z rejami tanecznymi, przerabiane rano na próbie. Wtem nadchodzi szalona burza, pioruny biją dookoła, ulewa zalewa potopem boisko i ćwiczące — publiczność ucieka w popłochu — a one stoją karne i nieustraszone, choć przemokłe do nitki. Publiczność z zapałem bije brawo, a naczelnik Vanicek odwołuje dalsze ćwiczenia. I znowu nasuwa się nam pytanie: a jak u nas, czyby tak dostali na miejscu jak tu te dziewczęta i kobiety? Deszcz spędza nas z trybuny. Wychodzimy z żalem i jakąś tęsknotą, powtarzając słowa dumki: U nas inaczej, inaczej, inaczej.

— — — — — — — —

Drugi dzień uroczystości zlotowych — dzień reprezentacyjny. Niebo wypogodzone. Od rana na boisku międzynarodowe zawody zastępów: belgijskiego, luksemburskiego, francuskiego, słoweńskiego, węgierskiego i czeskiego. Czesi nietylko że dorównują Belgijczykom i Francuzom, ale co więcej, przewyższają inne zastępy wszechstronnem wyrobieniem i harmonijną rytmiką ruchów. Zastęp Belgijczyków dobrany przepysznie pociąga estetycznem wykończeniem, Francuzi swą brawurą i temperamentem zdobywają publikę, Czechom rodacy biją sążniste brawa. Od 10 rano rozpoczął się pochód. Falanga 13.000 Sokolstwa czeskiego staje do szeregu. Na Rynku przed t. zw. Radzicą (ratusz), składają hołd reprezentacyi miasta. Pochód trwa 1 i pół godziny, prowadzony przez konnicę i wydział sokoli. Naprzód Francuzi, Bulgarzy w liczbie 150, potem 600 Chorwatów, 8 Serbów, a dalej drużyny Czechów z kraju i zagranicy, przedzielone 16 orkiestrami i oddziałami trębaczy, na końcu oddział Praski, który otaczające szpalery publiczności witają oklaskami i zasypują kwiatami.

Popołudniu występ ogólny, tem pożądańszy, że wczoraj ulewny deszcz spędził publiczność z trybun.

Boisko roi się tysiączną, falującą i mieniącą w słońcu rzeszą. Przelewa się ośmiotysięczna fala ćwiczących, dwa tysiące kobiet zwija się w pięknych pląsach i rejach, ćwiczą goście: Czesi amerykańscy, Bułgarzy, Amerykanki czeskie i Francuzi, kończący zawody. Jest na co patrzeć. Życie gimnastyczne wre dokoła.

Po ćwiczeniach okręgów (żup) następuje zakończenie czeskiego zlotu. Nazajutrz zawody ludowe.

I dokąd pod wrażeniem tego zapału siły, tej dumy czeskiej myśl nasza poleci? Ze smutkiem do kraju. Niestety — my tylko śpiewać umiemy „ospały i gnuśny zgrzybiały ten świat“ — do sprostania Czechom nam bardzo daleko!

/

Przegląd prasy.

Już niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę na przesadę panującą w pismach naszych, przesadę obracającą się w dwóch krańcowych sprzecznościach.

Otóż, gdy poniesiemy jakąś stratę, gdy na jakiem polu pracy cofniemy się o krok — nazywa się to wtenczas, że: — giniemy! Natomiast, gdy uda się nam odnieść jakąś choćby drobną korzyść, posunąć się choć krok naprzód, wołamy: — *zwycięstwo!*

Ani o jednem, ani o drugiem w życiu społeczeństwa naszego właściwie mówić się nie powinno. Sprawa zguby naszej, jak sprawa zwycięstwa —

---

rjana Stępowskiego. — Mapa ścienna dawnej Polski, przez dra E. Romera. — Z przeglądu prasy. — Kronika. — Kalendarz rocznic narodowych na lipiec — przez Dra M. G. — Program XV. Walnego Zgromadzenia T. S. L. — Okólniki Zarządu Głównego. — Z działalności Kół. — Sprawozdanie z kursu dla analfabetów w Białej. — Wiadomości różne. — Dar narodowy 3-go maja. — Przegląd krytyczny literatury.

„Poradnik językowy.“ — Nr. 6 i 7-my; *treść:* Z badań nad językiem polskim (I. K. Nitsch); — Wyniki ankiety w sprawie nazwisk żeńskich (R. Zawiliński). — Pokłosie (przez I. Szczerbowskiego. O. N. Golichowskiego i B. Dy). — Zapytania i odpowiedzi (przez I. Steina). — Nowotwory (przez K. Konieckiego). — W sprawie pisowni (przez W. Kagana i I. Steina). — Wyjaśnienia. — Rozmaitości. — Korespondencya Redakcyi.

a —

obie one spoczywają w ręku ciemnej, dalekiej przyszłości.

Do nas należy życie — należy czyn. Do nas należy *budzenie* życia, *zachęcanie* do czynu. A jeżeli ktoś z nas głosić będzie, żeśmy już zwyciężyli, to jakże wobec tego brzmieć będzie zachęta do czynu! — A jeżeli obwołamy zgubę naszą, czyż nie będzie na ironię wyglądać wołanie nasze o ratunek?!...

Te myśli tłoczą się pomimowolnie pod pióro, gdy się czyta głos *„Nadwiślanina“* w „kwestyi kaszubskiej“ w „Kurjerze Poznańskim“. Cały artykuł nastrojony jest na nutę: giniemy! — Nie brak w nim wyrzutów w kierunku wszystkich dzielnic polskich, że dla Kaszub nic nie czynią, że brak na Kaszubach inteligencyi, że Kaszubi za mało czynią dla swojego ratunku — a potem znachodzi się takie zdanie:

...„Do ogółu społeczeństwa apelować trzeba, gdyż chodzi *o ratowanie przed zagładą* znacznego ułamku narodu. — A przecież ofiarność polska znana! Wystarczy wskazać na Wrześnią! — A ogół polski nie może patrzeć z założonemi rękoma, jak 150.000 ziomków dłań przepada!

Bronić ich musi bronią kultury do upadłego, jak jednostka broni członka, **który jej napastnik gwałtem wyrywa z** żywego ciała.

Ratować więc Kaszuby trzeba, trzeba koniecznie za każdą cenę! Obowiązek spieszenia z pomocą — rzeczywiście spieszenia, bo pospiech nakazany, ciąży na całem społeczeństwie“.

Czyż to nie przesada? Nie dziw, że autorowi nie starczyło słów na podanie sposobów i środków zaradczych i zapożycza ich u p. *Zdzisława Maryckiego* w „Świecie Słowiańskim“, który tak pisze:

„Jest to pierwszorzędnym naszym obowiązkiem narodowym, żeby opinię publiczną polską *zainteresować* należycie Kaszubami. Publicystyka nasza powinna urządzić w tej sprawie systematyczną kampanię, jak w swoim czasie urządzono ją dla Śląska... Dostarczmyż Kaszubom, mówi dalej, *moralnego oparcia*: pism i książek, popierajmy instytucye kulturalne na Kaszubach, odbywajmy wycieczki wakacyjne w tamte strony, składajmy grosz na wychowanie chętnej do wyższych nauk młodzieży kaszubskiej. — Jakaś akcya na większą skalę musi się rozpocząć koniecznie i to jak najprędzej. Inicyatywę powinno dać polskie Koło poselskie tamtego zaboru, lub też grono naszej inteligencyi, osiadłej na Kaszubach, zbyt szczupłej wprawdzie, żeby coś zdziałać, ale dość licznej, żeby się zorganizować w rodzaj komisyi programowej, *wskazującej potrzeby* Kaszub i *sposoby zadosyćuczynienia* im, o co starać się musi Polska cała“.

Marycki naszem zdaniem trafia w sedno rzeczy. Należy Kaszubami społeczeństwo polskie *zainteresować*, należy wskazać ich *potrzeby*, należy podać *sposoby zaradzenia*.

Nie zainteresuje się nikogo dla jakiejbądź sprawy przesadą — rady dla niego się nie znajdzie bez wykazania potrzeby i możności ratunku.

Niechże więc „Nadwiślanin“, któremu „kwestya kaszubska“ tak bardzo leży na sumieniu, zajmie się zainteresowaniem społeczeństwa naszego, a rada i pomoc się znajdzie. Społeczeństwo nasze, a może i reszta zaborów dorzuci swój wdowi grosz na pomoc Kaszubom.

* * *

Hasło budzenia oświaty jako potężna dźwignia narodowego naszego życia wspólne jest wszystkim dzielnicom dawnej Polski. Istnieją jednakże wszędzie różne na oświatę zapatrywania, i różne oceny osiągniętych na polu oświatowem rezultatów. Pod niektórymi względami jednakże zdaje się istnieć możność wytworzenia poglądów jednolitych, a mianowicie, jaką w dążeniu do oświaty rolę odgrywa *szkoła*, i jaką rolę powinna odgrywać *inteligencya*.

Zapatrywanie nasze na rolę szkoły niemieckiej wyłuszczamy obecnie w „Pracy“. Podaliśmy już także glos niemiecki, że szkoła niemiecka dla niemieckich dzieci nie jest tem, czem być powinna. Dziś podajemy zdanie *„Głosu Ludu“* pisma wychodzącego w Częstochowie na Król. Polskie, gdzie od niedawna wywalczono sobie polską szkołę. „Głos“ powiada o szkole tak:

„Ażeby oświata prędko i skutecznie **przyjęła się u ludu, na to same szkoły nie wystarczają. One z natury swej** podają *środki* oświacie, t. j. umiejętność czytania i pisania i inne elementarne rzeczy.

„Posiadanie wiadomości nie jest oświatą samą, ono do oświaty wiedzie. Oświatą jest dopiero *umiejętność używania wiadomości*, **posługiwanie się** niemi dla własnego dobra i dobra ogółu; oświatę stanowi: poczucie godności osobistej, obywatelskiej, zrozumienie obowiązków człowieka jako takiego, jako członka narodu i t. d.“

Szkoła więc jest tylko środkiem do oświaty“ — „wiadomości same oświaty jeszcze nie stanowią“ — oto dla czego powyższe zdania podkreślamy a podkreślamy i dla tego, że godzimy się na nie najzupełniej, i że zdaje się nam, że w tej mierze innego zapatrywania być nie może.

Że szerzenie oświaty jest szczególnie *obowiązkiem inteligencyi*, o tem dwóch zdań niema. Warto atoli przypomnieć, na co inteligencya przy szerzeniu oświaty powinna brać wzgląd. „Ażeby“ zdaniem tegoż samego „Głosu Ludu“ — resztę ludu wyrwać z ciemnoty trzeba: *chcieć umieć* i *wytrwać!* „Głos“ każde z tych słów tak objaśnia:

„Trzeba chcieć, to znaczy: trzeba **przejąć się myślą, że praca nad oświatą** ludu jest obowiązkiem każdego uczciwego człowieka, który tylko z ludem się styka, że jest obowiązkiem, *jakiego szczęście narodu* wymaga, a od którego nikomu uchylać się nie wolno. Trzeba mieć wiarę w ważność tego obowiązku i w możliwość spełnienia go z pożytkiem.

„Aby na polu oświaty ludowej *umieć działać*, należy zdać sobie sprawę z tego: *jakich środków* najskuteczniej do tego celu używać wypada, i *jakie pożytecznemi* być mogą.

„Inne nasuwają się środki działania duszpasterzowi, inne ziemianinowi, inne mieszkańcowi miasta lub miasteczka.

„Przedewszystkiem jednak pamiętać należy, że: *kto ludu nie zna dokładnie, kto się zdala od niego wychował, kto nie umie ocenić dodatnich i ujemnych stron jego usposobienia, ten lepiej niech nie zaczyna cywilizatorskiej siejby,* bo przez niezręczność i najpiękniejszą myśl i najpożyteczniejszy pomysł skompromituje, ośmieszy mimowolnie.

„*Wytrwać trzeba* w pracy i wszystkie nam się narzucające trudności zwyciężyć; nie w jednym dniu Rzym zbudowano. Należałoby tu zwrócić się do Polek, którym w poświęceniu się dla **sprawy ojczystej żadne kobiety świata** nie dorównały, do Polek, które wypiastowały bohaterów i wieszczów. One dziś dać mogą narodowi miliony obywateli, miliony żelaznych piersi, z których historya wytworzy szaniec dla narodowej własności. Zachęcajcie mężów, synów i braci do wytrwałego działania, a wytworzą w sobie wytrwałość, lub wstyd spali im czoła.

„Minął czas narzekań, należy wziąć się do pracy wytrwałej, aby potomność nie powiedziała kiedyś, żeśmy dla niej nic nie uczynili.“

Słowa te wypowiedziane wprawdzie pod adresem inteligencyi i kobiet Król. Polskiego, stosują się jednakże i do nas tak doskonale, że przypomnieć i podkreślić je uważaliśmy za potrzebne i pożyteczne.

* * *

Pisaliśmy w przeszłym tygodniu w „Przeglądzie Prasy“ o znaczeniu, jakie wystawom przemysłowym czeladzi i terminatorów przypisywała *„Gazeta Ostrowska.“* Zapowiedzieliśmy podać jej ocenę urządzonej w Ostrowie wystawy.

Wystawa ta trwała tydzień cały od 29 czerwca do 7 lipca. Otwarcie i zamknięcie odbyło się w sposób bardzo podniosły przy udziale duchowieństwa ostrowskiego. A szczególnie podkreślić należy to, że ks. prob. Zborowski w gorących słowach przemawiał do uczestników wystawy. Ten fakt sam

zasługuje na uznanie. Gdy świecka inteligencya śpi i wypoczywa na niezasłużonych wawrzynach, trzeba sprawiedliwość oddać pracy i zasłudze tych, którzy je z trudem i z zapałem zdobywają.

O wystawie samej podajemy za „Gaz. Ostrowską“ następującą wiązankę zdań:

„*Ilościowo* wiele tutaj brakuje, lecz za to *jakościowo* przechodzi moje oczekiwanie“ — powiada jakiś Pan z Poznania.

Zdanie to rozprowadza *„Gazeta Ostrowska“* tak:

„Na wystawie można widzieć prawie tylko doborowe rzeczy, nawet śladu się nie znalezie pracy niedokładnej, nie wykończonej, partackiej. Wszędzie znać pewność ręki, znajomość zawodu, połączoną z delikatnie odczutem zrozumieniem piękna. Nigdzie nie rażą krzyczące kontrasty, albo przesadnie wybujała fantazya. Proste, skromne, w odpowiedniem miejscu zastosowane ozdoby są cechą przeważnej części wystawionych przedmiotów.“

Pochwały te oddaje „Gaz. Ostr.“ szczególnie zawodowi stolarskiemu i ślusarskiemu — o innych tak pisze:

„Znacznie gorzej przedstawiają się inne zawody. — Co prawda, prawie każdy zawód jest reprezentowany, lecz tak słabo, że nie można nawet przeprowadzić *porównawczej* krytyki pomiędzy jedną a drugą rzeczą. Są tutaj jeszcze reprezentowane zawody: cukierniczy, piekarski, rzeźnicki, kowalski, kołodziejski, introligatorski, fryzyerski, szewski, krawiecki, malarski, rzeźbiarski, i t. d., lecz każdy z nich ma tylko po jednym albo dwóch przedstawicieli. Niezbyt pochlebnie to świadczy o tych zawodach, w których jest stosunkowo wiele więcej samodzielnych majstrów, a ich warsztaty wiele więcej zatrudniają czeladzi i terminatorów, niż zawód stolarski i ślusarski.“

Takie też wrażenie pozostaje i z szczegółowej krytyki wystawy — a wniosek ostateczny, że brak wśród ogółu rzemieślników dostatecznego zrozumienia dla znaczenia wystawy.

Kwestyi tej powinny zjazdy przemysłowe poświęcić baczną uwagę, a to tem więcej, że urządzona w tym samym czasie *okręgowa wystawa przemysłowa w Gostyniu* — zupełnie się nie powiodła.

My uważamy wystawy przemysłowe nie tylko za dogodną reklamę — ale przedewszystkiem za konieczny czynnik do doskonalenia, do dźwigania przemysłu polskiego z wewnątrz. Z tego punktu widzenia umiemy wystawy przemysłowe doskonale pogodzić z hasłem popierania rodzimego przemysłu i „swój do swego“

Przegląd polityczny.

Rzesza niemiecka: Cesarz niemiecki odwiedził, udając się w dłuższą podróż wypoczynkową na morze północne, duńską parę królewską w Kopenhadze. Odwiedzinom tym towarzyszyły zwykłe uroczystości przy wzajemnych przyjęciach głów koronowanych. Niemcy wnoszą z uprzejmości, z jaką cesarza przyjęto w Kopenhadze, że napięcie, do jakiego Dania od roku 1864 uprawnioną była, obecnie znika. Stosunki poczynają być między Danią i Niemcami znośniejsze. Czy jednak dla tego, że cesarza przyjmowano grzecznie, należy Niemcom od razu wmawiać Duńczykom przyjaźń do siebie? Rany jak klęska duńska w r. 1864 przez pół wieku muszą się zabliźniać — czy jednak blizny te giną zupełnie?...

Prasa niemiecka w ostatnich dniach szalała z zachwytu nad mową ministra spraw zagranicznych Francyi. Minister Pichon zaręczał, że stosunek Francyi do Niemiec jest szczerze przyjacielski. Słów takich dawno nie słyszano z ust przedstawiciela francuskiego rządu, a co ważniejsza, słów takich nie oklaskiwano, jak to się działo w izbie deputowanych w ubiegły piątek. Czy słusznie cieszą się Niemcy?

Otóż prawdą jest, że koła liberalne niemieckie pracują usilnie nad rozbrojeniem nienawiści francuskiej od czasów pamiętnej wojny w r. 1870/71. Koła te proponują różne targi Francyi. Za zrzeczenie się swoich wpływów w Marokku, żądają od Francyi zrzeczenia się wpływu na kolej przez Małą Azyę do Bagdadu. Inna rzecz, że Niemcy chcieliby na tem dobry zrobić interes. Brak im podobno na dalsze budowanie bagdadzkiej kolei pieniędzy, chcieliby więc, ażeby Francya przyjaźń ich ozłociła, umożliwiając im dalszą budowę tej kolei. Czy na to Francya się zgodzi? — czy da pieniądze, zrzekając się równocześnie wpływu swojego na terenie tej kolei? Kto wie, dla czego Francya przyjaźń simuluje? Bo żeby przyjaźń ta miała być „szczerze przyjacielską“, w to mimo oklasków deputowanych trudno nam uwierzyć.

Austro-Węgry: Parlament węgierski był w ostatnich dniach świadkiem gwałtownej obstrukcyi Chorwatów przeciwko projektowi do prawa kolejowego, w którem rząd węgierski zrobił zastrzeżenie co do języka węgierskiego na kolejach chorwackich. Język węgierski miał być nakazany w wewnętrznem urzędowaniu kolejowem. Obstrukcya Chorwatów odniosła skutek. Rząd cofnął przepisy, których ostrze zwracało się przeciwko językowi chorwackiemu, przyznając że urzędnicy obsługujący publiczność podróżną powinni w Chorwacyi mówić po chorwacku.

Rosya: Car wyjeżdża do Finlandyi. — Rząd płynie falami ucisku i represyi. Tajemnicze bandy niepokoją i rząd i ludność. — Partya październikoweów, na której czele stoi ks. Trubecki, robi starania o przeciągnięcie kadetów na swoją stronę. Kadeci w rozesłanym okólniku do swoich komitetów oświadczyli się przeciwko takiemu sojuszowi — a za wyborami na podstawie dotychczasowego wolnościowego programu pomimo że nie wierzą, ażeby III Duma ich nadzieje ziścić była zdolna.

Grecya: Późno dopiero nadchodzi wiadomość o zamachu na izbę posłów greckich i ministrów. W czasie posiedzenia dnia 19 ub. m. rzucono bombę, która wpadając przez okno pokulnęła się do jednego z posłów. Wybuch nie nastąpił. Po usunięciu palącego się sznurka przekonano się, że w środku bomby znajdował się dynamit. Sprawcę schwytano. Opowiadał, że chciał całą izbę poselską i ministrów zgładzić dla tego, ponieważ oni są winni nędzy, jaka w kraju panuje.

Stany Zjednoczone: Przed kilku miesiącami obiegła świat groźna wieść o wojnie między Ameryką a Japonią. Po wyłuszczeniu przyczyn, po wzajemnych zapewnieniach przyjaźni świat się uspokoił. Zapomniano niemal o zatargu japońsko-amerykańskim. Aż tu teraz nadchodzi wieść, że Stany Zjednoczone wysyłają (rzekomo w celu ćwiczeń morskich) potężną flotę na Ocean Spokojny. Równocześnie dochodzi wieść, że Amerykanie wydalili na Filipinach wielką ilość robotników japońskich. Podobno oficerowie japońscy przebrani za robotników udawali się na Filipiny na szpiegostwo.

I wszystko to dzieje się w obliczu „konferencyi pokojowej“. O obłudna ludzkości!

„Sprawiedliwy“ wyrok.

Chrószcz na G. Śląsku, który zabił żandarma, gdy przyszedł mu w stodole rozrzucać pierzyk — to ofiara ustaw państwowych, zmierzających do „dźwigania“ niemczyzny na kresach wschodnich.

Siedemdziesięcioletni *Izydorczyk*, którego rozbestwiony i pijany ułan za-

siekał własną łopatą, — to ofiara hakatyzmu głoszącego, że niemczyzna na wschodzie jest „uciśniona“.

Ojciec, który broni syna przed batami kolonisty mszczącego się za to, że chłopiec chlebodawcy swojemu powiedział o zabranej butelce piwa — pada trupem ukluty nożem w serce — a sąd przysięgłych uwalnia zabójcę od winy i kary.

Rzecz miała się tak. Drogą przez wieś Georgenhof (?) snują się za sobą wozy kolonistów. We wsi stelmach *Janowski* posiada sklep piwa. Koloniści stają przed sklepem — piją piwo. Jeden z nich zabiera na wóz nie zapłaconą butelkę. Spostrzega to uczeń Janowskiego, Szkudlarek, powiada swemu majstrowi — a ten wysyła chłopca po niezapłaconą butelkę. Kolonista niewinnego chłopca chłoszcze batem. Szkudlarek skarży się o to ojcu, który staje w obronie syna. Wszczyna się bójka — kolonista wyciąga nóż i kłuje nim (jak powiada) na ślepo (!) w około siebie, straciwszy przytomność na widok gromadzących się ludzi ze wsi. Szkudlarek (ojciec) otrzymuje cios w serce i pada po chwili trupem.

Poznańska izba karna uznała się w tej sprawie za niekompetentną — rzecz oddana została przed roki przysięgłych. Obrońca oskarżonych kolonistów *odrzuca* wszystkich przysięgłych *Polaków.*

Sąd przysięgłych, wysłuchawszy zeznań oskarżonych i świadków, — wydaje wyrok uwalniający na podstawie przekonania, że koloniści występowali *w obronie własnej.*

Przebieg procesu był nadzwyczaj ciekawy. W sali sądowej utworzyły się dwa obozy: jeden, to Niemcy, którzy stali po stronie oskarżonych kolonistów, łagodząc zarzuty przeciwko nim — drugi, to Polacy, oskarżający obwinionych śmiało i otwarcie o spowodowanie zabójstwa.

Niemcy-świadkowie (koloniści) zeznali, że między nimi a Polakami bójki bywały częste, że Polacy ich nienawidzą, że zabójstwo Szkudlarka spada na sumienie Polaków, bo oni zaczepiali.

Niemcy-urzędnicy (komisarz — żandarm i inni) zeznawali, że Polacy owej wioski, to ludzie spokojni, że oni nic wiedzieli nic o kłótniach, sporach lub bójkach z kolonistami — że słuchy o wrzeniu wśród Polaków powstały dopiero *po zabójstwie* Szkudlarka.

Polacy nie mówili o żadnej nienawiści do Niemców, przedstawiali atoli zajście tak jakeśmy je powyżej opisali.

Urzędnicy-Niemcy szczególnie zabitemu Szkudlarkowi wystawiali świadectwo człowieka zgodnego, cichego i trzeźwego.

Cóż pomyśleć na tem tle o wyroku wydanym? Przemawia „za“ wyrokiem to jedynie, że na miejsce bójki zleciało się mnóstwo ludzi. Wywołało to wrażenie, a raczej obrona oskarżonego wysilała się w kierunku wywołania wrażenia, jakoby ludzie zbiegli się po to, ażeby — zbić kolonistów. Sąd nie brał — o ile ze sprawozdań wyczytać było można — pod rozwagę tego, że zaledwie 2 czy 3 Polaków wmieszało się do zwady pomiędzy Szkudlarka a kolonistów Maschkego i Boernermannów. Reszta całemu zajściu przyglądała się spokojnie.

Nie możemy się wobec tego wyroku wyzwolić z pod uczucia niepokoju. Chrószcz, Izydorczyk, Szkudlarek: czyż by to pierwsze krwawe ofiary nieustannego szczucia na Polaków? — czy sąsiedzi nasi Niemcy-koloniści pod osłoną paragrafu o „obronie własnej“ — nie zechcą częściej żgać na około siebie nożami? — czy częściej nie zechcą udawać *zaślepionych* niebezpieczeństwem życia grożącem im rzekomo ze strony Polaków?

Jeszcze Geppert i Rosiński morderstwo Glapy przypłacili życiem, jeszcze ulan Schultz w Toruniu za morderstwo Izydorczyka pokutuje w więzieniu, a przecież sądy wojskowe mają opinię sądów stanowych, *broniących* wojska przeciwko oskarżeniom osób cywilnych!

— Czyżby sądy *przysięgle* mniej dawały nam ochrony życia od sądów wojskowych?!.....

Pytania te nas mocno niepokoją. Zdawało nam się, że instytucye pruskie pomimo nienawiści do narodowości naszej chronią przecież życia naszego przed publiczną napaścią z czyjejbądź strony. Czyż wobec takich wyroków dotychczasowe zaufanie nie musi się począć chwiać?!

Nie pozostaje nam wobec tego nic innego, jak na te wszystkie wątpliwości nasze zwrócić uwagę *posłom naszym*, ażeby o bezpieczeństwo życia dla ludności polskiej upominali się tam, gdzie należy. Sądzimy, że przypadki powyższe dają argumentom ich, siłę przekonywającą i że wołanie ich o obronę Polaków przeciwko wybrykom kolonistów nie pozostanie bez skutku.

Głosy od Przyjaciół.

Bonikowo, pod Kościanem, d. 8 lipca 1907 r

Szanowny Panie Redaktorze!

Jestem od Nowego Roku czytelnikiem „Pracy“ i szczerze przyznać muszę, że mi się „Praca“ bardzo podoba. Czytając przeważnie artykuły, powieści, powiastki i nowelki, nie miałem czasu zająć się zagadkami, które co tydzień w „Pracy“ znajduję. Dziś jednak zabrałem się do rozwiązania magicznego kwadratu. Nie wiem, czy rozwiązanie dobre, ale przesyłam je Panu Redaktorowi, by się o tem przekonać.

Równocześnie zasyłam Wam też, Panowie Redaktorowie, serdeczne wyrazy współczucia za ofiary i cierpienia, jakie ponieśliście w obronie polskiego wykładu religii.

Z głębokim szacunkiem

Stanisław Kostański,
robotnik.

Od Redakcyi: Serdecznie Panu dziękujemy za wyrazy współczucia. Spełniliśmy, co było naszym obowiązkiem, cieszy nas jednak to, że zasłużyliśmy sobie przez to u Czytelników naszych na wdzięczność. Prosimy o dalszą pamięć i zasyłamy Panu od siebie serdeczne pozdrowienia.

Zajeziorze, dnia 8 lipca 1907

Szanowna Redakcyo!

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Muszę i ja raz Szan. Redakcyi rozwiązaną zagadkę nadesłać. Choć już rok abonuję „Pracę,“ to jednak dotąd nigdy zagadki nie rozwiązywałem. Przy tej okazyi chciałbym też Szan. Red. parę słów o sobie donieść. Jestem uczniem i cieszę się, że już teraz dobrze po polsku czytać umiem. Każdy numer „Pracy“ daję mojemu majstrowi, a i jemu się „Praca“ bardzo podoba. Życzę Wam jak najwięcej Czytelników i takich przyjaciół, którzy Was gorąco popierać będą.

Na koniec pozdrawiam Szan. Redakcyę wiele razy i z całego serca.

Teodor Bąkowski.

Od Redakcyi: Bóg zapłać za życzenia i pozdrowienia.

Bruckhausen, (Nadrenia) dnia 8. 7. 1907.

Kochanej „Pracy“ pozwalam sobie donieść o małem zdarzeniu tu w Bruckhausen. Dnia 20-go czerwca, o godz. 10-tej rano urządzili wachmistrz Schultz i dwóch urzędników policyjnych w księgarni mojej rewizyę. Szukali zakazanych śpiewników i kart obrazkowych. Po blisko 2 godzinach zabrali książeczki dla dzieci o Kościuszce i kupili 2 karty, które im się nie bardzo podobały. Karty, jakie kupili, załączam.

Z pozdrowieniem

J. Kochowicz.

Od Redakcyi: Nadesłane nam karty przedstawiają czerwone tarcze z

orłem polskim. Nad tarczą unosi się sokół. Po bokach tarczy wiją się zielone gałązki, a wśród nich widać różne sprzęty ćwiczebne używane przez „Sokołów,“ — druga przedstawia chwilę, w której chłopi polscy po bitwie pod Racławicami przywożą przed Kościuszkę zdobyte armaty. Tak „Kościuszko“ i „Sokół,“ to dwa straszaki na tych, którzy krzywdy narodu naszego dźwigają na swem sumieniu.

Detroit, d. 17 czerwca 1907.

Szanowną Redakcyą proszę o łaskawe umieszczenie następującej wiadomości.

Z radością dzielę się z Czytelnikami „Pracy,“ i zarazem z rodakami tak w Ojczyźnie jako i przebywającymi wśród obcych nowiną, że rodak nasz, *Franciszek Wilamowski* pochodzący z *pod Grudziądza* (Prusy Zachodnie), który należał do oskarżonych w znanym procesie toruńskim w Boże Ciało otrzymał w Brooklynie święcenia kapłańskie. Obecnie już ks. Wilamowski po odbyciu jednomiesięcznej kaźni więziennej wstąpił do Seminaryum polskiego tu w Detroit, gdzie przez 5 lat słuchał filozofii i teologii św. Młody lewita odprawił w dzień 1-go czerwca uroczyście pierwszą mszą św. w Detroit. Nowemu kapłanowi zasyłam „Szczęść Boże“ w pracy około ludu polskiego na amerykańskiej ziemi.

Szanownej Redakcyi zasyłam serdeczne życzenia, ażeby co raz więcej zjednywała sobie Czytelników i abonentów, — oraz miłe pozdrowienia.

Jan Wielebiński,
kleryk.

Wiece, zebrania, zjazdy i uroczystości towarzyskie.

Szanowne Zarządy towarzystw, pragnących, ażeby ich ogłoszenia o zebraniach i t. p. na czas pomieszczone były w „Pracy“, prosimy, ażeby doniesienia swoje przesyłały nam najpóźniej *do środy wieczorem*. W razie świąt przypadających na drugą połowę tygodnia, t. j. na czwartek, piątek lub sobotę, prosimy o przesyłanie nam swych komunikatów — *o dzień wcześniej. — Za doniesienia nadesłane później, redakcya „Pracy“ nie przyjmuje na siebie żadnej odpowiedzialności.*

* * *

Dortmund Westfalia: Dnia 14 lipca, w niedzielę o godz. 3 po poł. odbędzie się na sali p. Schaefera przy ul. Leibnitza — *walne zebranie okręgu wyborczego dortmundzkiego* dla powiatu Dortmund wiejski i miejski i Hoerde. Na porządku obrad: sprawa nowego regulaminu, sprawa wyboru komitetu okręgowego i delegatów.

Kobylin: *Walne Zebranie Tow. Urzędników Gospodarczych* z powiatów Koźmin, Krotoszyn, Rawicz, Gostyń i Krobia, odbędzie się w niedzielę, dnia 14-go lipca 1907 r. o godz. 3 po południu w lokalu p. Urbanowicza w Kobylinie, na które wszystkich członków i mających chęć wstąpić do tegoż Towarzystwa uprzejmie zaprasza. *Dyrekcya.*

Brandenburg: Wielki wiec dla polskich robotników odbędzie się w niedzielę dnia 14 lipca na sali p. Gmerka o godz. 11 przed południem.

Polski związek Zawodowy
w Poznaniu.

Poznań-św. Łazarz: Uroczystość 15 rocznicy założenia *Towarzystwa Przemysłowego na św. Łazarzu* odbędzie się w niedzielę dnia 14 lipca. Zwracamy uwagę na uroczyste posiedzenie o godz. $10^1/_2$ w niedzielę, na wspólny obiad. W poniedziałek dnia 15 b. m. odbędzie się wspólne zwiedzanie pamiątek Poznania.

Wiadomości.

* **Rocznica Grunwaldu.** W roku 1910-ym upłynie pół tysiąca lat od wielkiego krzyżackiego pogromu na polach Grunwaldu. Co będzie wówczas, gdy na dziejowym zegarze wybije 500-lecie Grunwaldu? Nikt z nas oczywiście przewidzieć nie może, ale kto wierzy, że szczęście zmienne a Bóg cudowny, ten ze spokojem patrzy w przyszłość wymiaru sprawiedliwości Bożej, krzepiąc się rozpamiętywaniem wielkiego faktu historycznego, jakim był dla całej Polski i dla całej Słowiańszczyzny pogrom grunwaldzki w dniu 15-ym lipca 1410-go roku.

Czytelnicy znajdą w dawniejszych rocznikach „Pracy“, mianowicie z ostatnich dwóch lat obszerne opisy bitwy pod Grunwaldem i inne szczegóły dotyczące pogromu Krzyżaków.

* **Wieś** *rycerska Dalbosławice* pod Kępnem, lecz już w powiecie Sycowskim na Górnym Śląsku położona, 2500 mórg znakomitej ziemi, z obszernym pałacem, parkiem, rzadko pięknemi budynkami i ślicznym lasem, *dotychczasowa własność Domu Bankowego Drwęski i Langner (Marcin Biedermann) w Poznaniu, przeszła* mocą kupna w zeszłym tygodniu na *własność p. hr. Wiktora Czarneckiego z Gogolewa pod Krobią.* Zdanie gospodarstwa już nastąpiło. Nowonabywcy: „Szczęść Boże!“

* **Smutna** *dola redaktorów.* Pan Paszliński, redaktor „Gazety *Grudziądzkiej*“, rozpoczął w środę 10-go b. m. odsiadywać w więzieniu we Wronkach 8-miesięczną kaźń za artykuły w sprawie szkolnej.

* **Za obrazę sędziego** p. Brtilla z Mogilna skazała świeżo inowrocławska izba karna redaktora „Dziennika Kujawskiego“ p. *K. Jankowskiego* na 50 marek kary lub 5 dni więzienia. Obrazy dopatrzono się w zamieszczonym artykule p. t. „Hakatyzm w radach miejskich“. Proces o ten sam artykuł toczył się już dnia 25-go maja r. b. przed izbą karną w Gnieźnie przeciw pp. dr. Szumskiemu z Mogilna, redaktorowi Tesce z Gniezna, redaktorowi „Orędownika“ na powiat mogileński, p. Kamińskiemu, p. Gertigowi, zarządcy drukarni „Dziennika Kuj.“ i zarządowi „Orędownika“ na powiat mogileński. O przebiegu procesu donosiliśmy swego czasu.

* **Za przyjęcie** *ks. Jezierskiego*, który stawał przed sądem ławniczym za przestępstwo § o ambonie, skazał sąd ławniczy 14 gospodarzy z Kunowa, którzy przyjechali z umajonemi wozami po księdza Jezierskiego, każdego na 15 marek grzywny.

Nie wolno jest więc powracającego z sądu witać!

* **Nauczyciel oszust.** W tych dniach stawał przed izbą karną w Wolsztynie były nauczyciel Robert Schädler z Borni, skazany w zeszłym roku za sprzeniewierzenie na 3 lata więzienia. Tym razem zarzucało mu oskarżenie sfałszowanie dokumentów. Schädler sprzeniewierzył swego czasu jako kasyer Spółki pożyczkowej w Borni około 30 tysięcy marek w ciągu kilku lat a w celu ukrycia swoich manipulacyi, fałszował kwity i inne dokumenty. Sąd skazał Schädlera dodatkowo na rok więzienia i 150 marek kary, tak że ogólna kara wynosi 4 lata więzienia oraz 150 marek kary lub dziesięć dni więzienia.

* **Drukarnia nakładowa**, istniejąca w Poznaniu od roku 1861 pod firmą *J. Fr. Tomaszewski*, należąca obecnie do p. *M. Biedermanna* przeszła na *własność p. Bolesława Winiewicza*, dotychczasowego kierownika tejże drukarni.

* **Wycofanie talarów.** Urzędowy „Reichsanzeiger“ donosi, że od 1 października b. r. nie będzie nikt zobowiązany do przyjmowania talarów. Natomiast będzie można wymieniać talary do 30 września 1908 r. w kasach rzeszy i innych kasach rządowych. Przedziurawionych lub w inny sposób uszkodzonych talarów kasy te przyjmować nie będą.

* **Podziękowanie.** Wszystkim dobroczyńcom, którzy się do uświetnienia zabawy odbytej dnia 30 czerwca w ogrodzie na Wzgórzu św. Łazarza w jakikolwiekbądź sposób przyczynić raczyli, w szczególności p. Markiewiczowi z Kostrzyna, p. Kasprowiczowi z Gniezna i p. Komendzińskiemu z Drezna, składamy na tem miejscu serdeczną podziękę i staropolskie „Bóg zapłać“.

Zarząd „Pań Miłosierdzia“
z parafii archikatedralnej.

* **Procesy prasowe.** Redaktora odpowiedzialnego „Postępu“ p. *Stanisława Kunza* skazała poznańska izba karna dnia 9-go b. m. w myśl wniosku prokuratora na miesiąc więzienia za umieszczenie artykułu w nrze 64-ym „Postępu“ p. t. „Czy nam będzie kiedyś lepiej?“ Jednocześnie byłego odpowiedzialnego redaktora „Postępu“, p. *Trochę*, odsiadującego kilkomiesięczne więzienie, skazano w instancyi apelacyjnej za obrazę na 50 mk. kary.

* **Ważne dla podróżujących kupców i fabrykantów.** Po ukonstytuowaniu się urządziliśmy biuro wskazywania posad dla podróżujących kupców Polaków. Członkom Związku

wskazywać będziemy bezpłatnie wakujące posady, również i pp. fabrykantom oraz kupcom służymy podaniem reflektantów. Prosimy zatem Szanownych członków Związku i pp. fabrykantów, oraz kupców zatrudniających podróżujących o zgłaszanie się piśmienne lub telefoniczne w razie potrzeby do naszego sekretarza pana T. Szramkiewicza, Poznań, ul. Wroniecka nr. 6. (Wronkerstr.) Telefon nr. 77.

Zarząd Związku podróżujących kupców na rzeszę niemiecką.
F. Ślósarczyk, prezes.
T. Szramkiewicz, sekretarz.

* **Przestroga dla pielgrzymów:** Ks. prob. Rochalski ogłasza co następuje: Gdy przed kilku dniami wracałem z Częstochowy, skonfiskowano mi w urzędzie celnym w pruskich Herbach dwa obrazki z Matką Boską Częstochowską, orłem, pogonią i napisem „Boże zbaw Polskę“, — przypuszczam dla tego, że mogły zagrażać całości państwa niemieckiego. Protestu mojego, że owe przedmioty są moją prywatną własnością i nie do publicznego, lecz wyłącznie do prywatnego użytku przeznaczone, nie uwzględniono. Natomiast reklamacya, wniesiona do prokuratoryi w Opolu, odniosła pożądany skutek, — i obrazki zostały mi zwrócone. W urzędzie celnym dowiedziałem się przy tej sposobności, że już wiele podobnych przedmiotów zostało zabranych i zniszczonych. Widocznie niejedna osoba albo z niewiadomości albo ze zbytniej bojaźni zupełnie niepotrzebną okazała uległość wobec urzędników celnych i policyjnych. Z tego powodu zwracam uwagę na to, że w podobnych przypadkach należy zaprotesować przeciwko konfiskacie i w dalszym ciągu zwrócić się do prokuratoryi, w której obwodzie odnośny urząd celny się znajduje, na zasadzie § 41 kodeksu karnego, na mocy którego tylko te karygodne i zakazane przedmioty podlegają konfiskacie, które albo są w posiadaniu autora, właściciela drukarni, wydawcy, nakładcy lub księgarza, albo też publicznie są wyłożone lub publicznie polecone.

Ks. Rochalski.

Mączniki, pod Środą, 27. 6. 1907.

* **Koncert** *„Harmonii“ w Berlinie.* W przyszłą niedzielę, 14-go b. m. urządza w Berlinie Koło śpiewaków „Harmonia“ w ogrodzie Buggenhagena przy Moritzplacu swój doroczny koncert latowy. Na koncert ten wyjeżdża do Berlina p. B. Marcinkowski z Poznania, którego utwory wykona liczny chór mieszany „Harmonii“ berlińskiej.

* **Żnin.** Tutejszy sąd ławniczy skazał córkę chałupnika *Petronelę Czemczak z Owsiska* na *14 dni więzienia.* Oskarżona zaszła pewnego dnia do mieszkania tamtejszego nauczyciela i robiła mu wyrzuty z powodu aresztu, który dzieci musiały odsiadywać. Pomimo, że nauczyciel nakazał jej mieszkanie opuścić, oskarżona nie wyszła. Sąd skazał ją za to na powyższą karę.

* **Berlin.** Dnia 8-go b. m. rano wyjechało stąd z ramienia *Komitetu Kolonii wakacyjnych* blisko 200 dzieci na czas wielkich wakacyi do różnych stron Księstwa i Prus Zachodnich, w jednym przypadku także na Śląsk. Miejsc wolnych w gościnnych domach wielkopolskich uzyskał Komitet 26, 14 więcej niż w roku zeszłym.

Wśród okrzyków licznie na dworcu zgromadzonych rodziców: „Szczęśliwej drogi!“ i „Do widzenia“ i powiewania chustkami, dziatwa nasza ruszyła w drogę do kraju. Niech jej pobyt w stronach rodzinnych wyjdzie na zdrowie!

---

* **Rodaczka** zapytuje się na tej drodze Szan. Czytelników „Pracy“, gdzieby mogła otworzyć i prowadzić z powodzeniem *skład strojów i towarów krótkich* bądź w Poznańskiem, bądź też w Prusach Zachodnich. Oferty przyjmuje Redakcya „Pracy“.

* **Z roku na rok** wzrasta popyt na wyroby *polskiej fabryki pierników p. Markiewicza w Kostrzynie.* W miarę tego fabryka powiększa też stopniowo swoją produkcyą. Mimo to pod koniec roku, około Gwiazdki, kiedy popyt na pierniki jest największy, powtarzają się skargi, że fabryka nie może sprostać wszystkim zamówieniom. Sprawa ta wymaga wyjaśnienia.

Fabryka może uwzględnić tylko wczesne zamówienia, ponieważ mimo przypuszczalnego obliczenia z roku na rok zwiększającego się zapotrzebowania, nie jest w stanie ocenić dokładnie, ile na sezon zimowy potrzeba będzie towaru, a mianowicie, ile przystąpi nowych odbiorców. Dla tego wczesne zamówienia są koniecznemi. Każdy kupiec już teraz z łatwością sprawdzić może zapotrzebowanie swoich odbiorców, a wysyłając natychmiast zamówienie, pod koniec roku nie będzie potrzebował skarżyć się, że nie otrzymał zamówionego towaru.

Przy tej sposobności zwracamy się do Szan. Publiczności z uprzejmą prośbą, aby zawsze i wszędzie żądała tylko *polskich pierników Markiewicza*, dorównujących pod względem jakości najzupełniej obcym. Niestety i dziś jeszcze niektórzy kupcy nasi, nie mając na składzie fabrykatów polskich, wmawiają w odbiorców, że niemieckie są lepsze. Takiemu fałszywemu pojmowaniu hasła Swój do swego tylko publiczność sama może położyć tamę.

Nekrologia.

† Ś. p. *Gustaw Załuskowski*, umarł dnia 22-go z. m. w Sudernich pod Recklinghausen w Westfalii w 34-ym roku życia. Zmarły pochodził z Poznańskiego z pod Stęszewa i zostawił swoich najbliższych, mianowicie matkę — staruszkę, której był jedyną pomocą, gdyż był ostatnim z czterecc synów, w wielkim smutku i ropaczy. R. i. p.

† Ś. p. *Piotr Czarliński*, umarł w Łęgu w Prusach Zach. Zmarły był dawniej właścicielem Czarlina w powiecie Kościerskim na Kaszubach, a w roku 1863/64 i brał jako oficer czynny udział w powstaniu pod przybranem nazwiskiem Piotra Czarnego. R. i. p.

† Ś. p. *Katarzyna z Gallasów I voto Karpińska II voto Sobkowiak*, dnia 5-go b. m. w Poznaniu w 74-ym roku życia R. i. p.

Nasza ofiarność.

* **Na „Straż“ — sekcyę kulturalną** — nadesłał p. Józef Jucha z Dortmundu 1 mk.

* * *

* **Ze sprzedaży kart gratulacyjnych i kondolencyjnych,** *zastępujących telegramy, wpłynęło do kasy za pośrednictwem* pp. na ręce red. „Wielkopolanina“ Nowicki z Ostrowa 3 mk., Łukomski z Chełmży 12 mk., firmy Dr. Kantecka ul. Wilhelmowska 19,50 mk., firmy A Rose w Bazarze 104,63 mk., Dr. Rzepnikowski 50 fen., Bilażewski 50 fen., Sokołowska, ul. Wilhelmowska 6 mrk., Kostrzewski plac Piotra 2,25 mk., Świątkowski z Znina 4,90 mk., Kręglewski z Wągrówca 8 mk., N. N. 2,25 mk.: razem 163,53 marek!

Od Redakcyi.

— *Panu Franciszkowi M. w M. G.* — 1) Prawo o staranie się o rentę przysługuje Szan. Panu. 2) Adres jest taki: Obywatelska kasa chorych i posagowa Poznań — Posen, plac Sapieżyński — Sapiehaplatz 6. Do zarządu należą pp. Chrościelewski i Mosakowski oraz inni obywatele.

— *Rodakowi na obczyźnie.* — Oprawę wszelkich książek pojedyńczo i całych bibliotek wykonuje najsumienniej p. *K. Kmiecikowski,* właściciel pierwszorzędnej introligatorni poznańskiej w Poznaniu przy placu Wilhelmowskim 14 — Posen, Wilhelmplatz 14.

— *Wielebnemu Księdzu Wielebińskiemu w Herkimer (Ameryka).* — Najuprzejmiej dziękujemy za nadesłanie łamigłówki i zasyłamy najserdeczniejsze pozdrowienie.

— *Pani Tekli z C. w Ł.* — Ogłosimy w przyszłym numerze. Dziś dajemy krótką notatkę w dziale „Nekrologia“.

— *Głównemu Komitetowi Wyb. na Westf. Nadr. i t. d.* — Komunikat po skreśleniu polemiki z „Wiarusem Polskim“ ogłosimy w następnym numerze.

—*Do Tow. Przemysłowców w Halli:* Pan Wojciech Kusak donosi za pośrednictwem pisma naszego Szan. Tow. Przemysłowców w Halli, że mieszka obecnie w Galicyi. Dokładny adres p. K. jest: Wojciech Kusak — Stróża, poczta Myślenice w Galicyi. Pan K. chce zapisać się do T. Przem. w H. i prosi o dokładne podanie lokalu Tow.

— *Panu A. G. S.* — Wyraz właściwy jest „Szprewa“. Wyrazu tego używają nasi literaci, użył go także ś. p. Kraszewski w swej powieści pod tyt. „Nad Szprewą.“

Testament bankiera.

Z angielskiego tłumaczył M. P.

18)

(Ciąg dalszy.)

— Proszę odpowiedzieć krótko tak, albo nie.

— No, więc — tak.

— Wiedziałeś pan, że testament ten istnieje jeszcze?

— Czy wiedziałem? — powtórzył wolno, — nie, ale domyślałem się.

— Przypominasz pan sobie o co tam chodziło?

— O tak!

— I potwierdzasz prawdziwość tego, co czytałem?

Hobson spostrzegł, że popełnił nieostrożność swoją szybką i stanowczą poprzednią odpowiedzią. Wzruszył więc teraz ramionami, zawahał się i po chwili dopiero odrzekł z namysłem:

— Po tylu latach.....

— Ależ powiedziałeś pan właśnie, — wtrącił Sutherland, — że przypominasz sobie dokładnie treść testamentu.

— Tak, to jest, pomimo to można powiedzieć tylko, że myślę, że testament ten może być ten sam.....

— Dobrze, — odrzekł przewodniczący, — wszelkie wątpliwości mogą być natychmiast usunięte, jeżeli pan uznasz swoje pismo i swój podpis. Proszę się zbliżyć.

I rozłożył dokument na stole. Hobson wziął okulary, patrzał długo i uważnie na papier i szepnął w końcu cicho:

— Zdaje się, że to moje pismo, ale przysiądz bym nie mógł, czy tak jest rzeczywiście! W przeciągu tylu lat zmieniło się tak, że sam nie wiem, czy to ja pisałem, czy kto inny.

— Może będę mógł pomódz pamięci pana, — zauważył Barton szyderczo, — posiadam kilka listów pana z tego samego, zdaje mi się roku, w którym testament spisanym został.

Mówiąc to podał przewodniczącemu paczkę listów i dodał jeszcze:

— Porównanie pisma najlepszym będzie dowodem, że Hobson pisał testament!

Sędziowie przekonali się o prawdziwości jego twierdzenia i nawet Hobson nie wypierał się dłużej, mianowicie, w chwili; gdy spojrzał na stare swoje listy, pisane przed dwudziestu laty. Listy te widoczną mu sprawiały nieprzyjemność.

— Pisałeś je pan? — zapytał jeden z sędziów.

— Tak, — odpowiedział przytłumionym głosem.

— I przyznajesz teraz, że pisałeś testament?

— Tak!

— Czemu nie otworzono testamentu zaraz po śmierci pana Mainwaringa?

— Na drugi dzień po pogrzebie dałem go panu Hugonowi do schowania, i to na wyraźne jego żądanie. Później dał mi do zrozumienia, że testament zginął.

— I równocześnie okupił milczenie pana, nieprawdaż?

— Może być! — brzmiała rozpaczliwa odpowiedź.

— Dobrze, wróć pan na miejsce.

Teraz nastąpiła przerwa, podczas której adwokaci naradzali się po cichu, a publiczność drżała z niecierpliwości. I nareszcie dał się słyszeć głos przewodniczącego:

— Harold Skott Mainwaring!

Głęboka cisza zapanowała na sali, lecz tylko na chwilę. Gdy bowiem na wezwanie to podniósł się dotychczasowy sekretarz bankiera, dały się w około słyszeć okrzyki zdumienia, i najrozmaitsze uwagi. Harold nie zwracał na nic, spokojny i obojętny zbliżył się do stołu, i nikt nie mógł odgadnąć, co się w duszy jego działo. Ani ciekawe spojrzenia publiczności, ani złośliwy uśmiech pani La Grange, ani szyderczy wyraz twarzy Ralfa Mainwaringa nie zdołały zachwiać jego spokoju i pewności siebie. Raz tylko zwrócił się w stronę Mainwaringów, oczy jego spotkały się z oczami Hugona, i obydwaj przenieśli się myślą w niedawnną przeszłość — gdy siedząc w księżycowej nocy na balkonie pałacu Chesnes, serdeczną zawierali przyjaźń. Jednem tem spojrzeniem zrozumieli się doskonale, Harold wiedział teraz, że słowa pożegnalne Hugona: — jestem twoim przyjacielem i możesz zawsze na mnie liczyć, — nie były czczym frazesem, i że mógł rzeczywiście liczyć na niego, cokolwiek bądź się stanie.

Przewodniczący zaczął pytać i na sali znowu zapanowała cisza.

— Gdzie się pan urodziłeś?

— W Melbourne, w Australii.

— Jakim sposobem dowiedziałeś się o istnieniu drugiego testamentu?

— Przed sześciu mniej więcej laty mówił mi o tem James Wilson. Opowiadał mi, że był obecnym spisywaniu go, na kilka godzin przed śmiercią mego dziadka, a później, przed rokiem znalazłem pomiędzy prywatnemi papierami zmarłego Hugona Mainwaringa, mego stryja, notatkę, która mnie utwierdziła w przekonaniu, że testament ten znajduje się w jego posiadaniu. Siódmego lipca, w sam dzień jego śmierci, znalazłem ów dokument.

— Znalazłeś pan przypadkiem, czy go też szukałeś?

— Szukałem, i to od chwili, w której znalazłem notatkę Hugona Mainwaringa.

— Nie starałeś pan się o odszukanie testamentu zaraz po widzeniu się z Wilsonem?

— Nie zaraz! W owym czasie zacząłem właśnie moje studya na uniwersytecie oksfordzkim i przez całe cztery lata zajmowałem się niemi wyłącznie. Ale starałem się zarazem o zasięgnienie wiadomości co do osobistości Hugona Mainwaringa i Hobsona, i po ukończeniu uniwersytetu dopiero postanowiłem sobie za cel mego życia odnalezienie testamentu, wykrycie krzywdy, wyrządzonej memu ojcu i mnie i odebranie majątku, zabranego mi za pomocą oszukaństwa. Dlatego udałem się do Ameryki i tu, jako prywatny sekretarz Hugona Mainwaringa znalazłem najlepszą drogę do mego celu. Mając przystęp do całej prywatnej korespondencyi mego pryncypała, znalazłem bogaty materyał, potrzebny do wykonania moich zamiarów. Wkrótce znalazłem wszystkie listy, jakie Hobson pisał i dowiedziałem się z nich, że stryj płacił mu znaczne sumy za milczenie. Do czego się milczenie to odnosiło — poznałem z kilku pobieżnie nakreślonych słów stryja na jednym z listów Hobsona. Słowa te były następujące:

„On przypuszcza, że testament został zniszczony — nie przeczuwa zatem, że posiadam go jeszcze i że nie zniszczę go prędzej, aż sam testamentu nie napiszę! Czemu go nie podarłem dawniej, czemu go nie podrę teraz, gdy stał się moją niezaprzeczoną własnością — nie wiem! Nie śmiem tego uczynić! Sumienie robi z nas tchórzy!“

— Po przeczytaniu tych słów, — mówił Harold dalej, — zacząłem szukać testamentu!

—I gdzie znalazłeś go pan ostatecznie?

— W żelaznej szafie pana Mainwaringa w Chesnes.

— Siódmego lipca.

— Tak.

— A więc tego dnia, w którym pan Mainwaring dyktował panu swój własny testament!

— Tak jest.

— Chciałbym się zapytać, — wtrącił pan Whiteney, — czy pomiędzy tym wypadkiem, a dziwnem znalezieniem testamentu istnieje jaka styczność?

— Pod pewnym względem tak, — odrzekł Harold spokojnie, — i to o tyle, że testament stryja pobudził mnie do większego pospiechu. Wszakże stryj wyrażał się w owej notatce, że gdy sam zrobi testament, zniszczy ów testament swego ojca, a myśl ta niepokoiła mnie bardzo. To też szukałem gorliwiej niż dotąd i znalazłem to, czego szukałem!

— O jakiej to było porze dnia?

— Było to po południu. Stryj wyjechał z swemi gośćmi na spacer, a ja miałem dosyć wolnego czasu na szukanie. Po upływie godziny miałem dokument w rękach i włożyłem go do kieszeni, a wieczorem dopiero schowałem go w komodzie!

— Powiedziałeś pan o tem panu Mainwaringowi?

— Ani słowa! Z wyjątkiem kilku chwil nie widziałem go aż do północy samego, a wtedy wydawał mi się taki zmęczony, że nie chciałem z nim o tem mówić o tak niewłaściwej porze.

— Więc pan twierdzisz, że jesteś prawnym synem wymienionego w testamencie Harolda Skotta Mainwaringa i występujesz tu jako jego spadkobierca?

— Tak jest!

— Ale wszyscy, którzy znali Harolda Skotta Mainwaringa i jego stosunki twierdzą, że umarł bezdzietny!

— Tak, wszyscy byli tego zdania!

— Dlaczego zatem ukrywano pana i zatajano twoje istnienie?

Publiczność nieomal oddychać nie śmiała, na sali ciszej było niż w kościele.

— Kilka godzin po mojem przyjściu na świat, — odrzekł Harold swym cichym, dźwięcznym głosem, — położono na mojem miejscu nieżywe dziecko, mnie zaś przeniósł ojciec do zaufanego, wiernego przyjaciela, który przyrzekł mu, że będzie mnie uważał za swego syna, że wychowa mnie jak najlepiej i że dopiero po dojściu do pełnoletności powie mi, kim jest mój ojciec i jakie powody skłoniły go do rozłączenia się ze mną.

— I jakież były powody takiego niezwykłego postępowania?

Harold zawahał się na chwilę — a twarz jego, spokojna dotąd, zdradzała teraz silne wzruszenie.

— Mój ojciec rozłączył się ze mną, — odpowiedział nie podnosząc oczu, — bo serce jego śmiertelnie było zranione! Honor jego domu był splamiony i ja nie miałem się o tem dowiedzieć przedwcześnie! Wtedy dopiero miałem poznać jego cierpienia, gdy będę je mógł zrozumieć. Rozłączył się ze mną, aby mnie zabrać z pod wpływu niegodziwej kobiety — mojej matki, fałszywej, zdradzieckiej, która jego haniebnie oszukiwała i nazwisko jego wstydem pokryła! Miała być dla mnie umarłą tak jak ja dla niej — nie miała się nigdy zbliżyć do mnie, a ja nie miałem nic wiedzieć o jej istnieniu. Mój ojciec rozłączył się ze mną, swem jedynem dzieckiem, z niezmiernej, potężnej miłości, której poświęcił całe szczęście swego życia, i dla której ja mógłbym dziś chętnie wszystko, aby mu okazać mój szacunek i uwielbienie i wynagrodzić mu to, co jego ojcowskie serce przecierpiało!

Tylko panowie Sutherland i Barton rozumieli ostatnie słowa, lecz publiczność nadała im inne znaczenie i zaczęła Haroldowi okazywać tyle współczucia, że przewodniczący musiał użyć całej powagi, aby przytłumić głośne objawy sympatyi.

Jedna tylko osoba siedziała nieporuszona, jak martwa. Pani La Grange trupio blada, z zbielałemi ustami i kurczowo zaciśniętemi rękami leżała na pół w swoim fotelu i szeroko otwartemi oczami wpatrywała się w Harolda, którego słowa raniły ją jak ostrze sztyletu. Gdy jednak spostrzegła, że ten i ów z publiczności patrzał na nią zdumiony, podniosła się szybko i zbierając całą siłę woli, nadała twarzy wyraz zupełnie spokojny. Patrzała przytem ciągle na Harolda, nie spuszczała oczu z niego i na nikogo już nie zwracała uwagi.

— Ile pan miałeś lat, — pytał znowu przewodniczący, — gdy się dowiedziałeś kim jest twój ojciec?

— Moi opiekunowie powiedzieli mi to, gdy skończyłem piętnaście lat. Powiedzieli mi jak i pod jakiemi warunkami oddał im mnie mój ojciec i że kilka lat później umarł. Ale wszelkich innych szczegółów dowiedziałem się z listu ojca, który mi oddano przy dojściu do pełnoletności. Opisał mi w nim historyę swego życia oraz cierniową drogę, na jaką wstąpił z chwilą swego ożenku. Nieszczęsne małżeństwo jego stało się najpierw powodem wydziedziczenia i wypędzenia z domu rodzicielskiego, a później przyniosło mu więcej jeszcze gorzkich doświadczeń, które zatruły mu życie, zniewoliły go do opuszczenia ojczyzny i w końcu zmusiły do wyrzeczenia się jedynego szczęścia w życiu, to jest wychowania i miłości ukochanego dziecka!

Gdy Harold skończył, podniósł się pan Sutherland.

— Chciałbym nadmienić tutaj, — rzekł, — że tak ja jak i mój szanowny kolega pan Barton, czytaliśmy list, o którym mówi właśnie nasz klient, i że uważamy go za rzecz tak prywatnej natury, że nie możemy go dać tutaj do ogólnej wiadomości. Dodaję jednak, że porównaliśmy pismo to z innemi listami jego i że gotowi jesteśmy zeznać pod przysięgą, że uważamy je za własnoręczne pismo Harolda Skotta Mainwaringa, starszego syna, Ralfa Makswella Mainwaringa!

Przewodniczący podziękował i zaczął badać dalej Harolda:

— Czy przez wszystkie te lata nie dano panu nigdy jakiej wskazówki, kto była matka twoja? Wiesz pan dziś coś bliższego o niej?

Harold zamyślił się na chwilę, poczem odrzekł głośno:

— Przed trzema dniami nic jeszcze o niej nie wiedziałem, teraz jednak wiem, że ona znajduje się tu, w tej sali!

Słowa te wywołały znowu ogromne wrażenie na słuchaczach, i znów dały się słyszeć tak liczne i hałaśliwe okrzyki, że nikt nie zważał na cichy, rozpaczliwy jęk kobiety.......... Spokój zapanował wtedy dopiero, gdy Harold wrócił na miejsce i gdy przewodniczący następnego wezwał świadka:

— Pan Frederik Mainwaring Skott!

Pani La Grange podniosła się, lecz zaraz znowu upadła na krzesło. Musiała się przestraszyć czegoś, bo spuściła głowę i nie śmiała podnieść oczu, ale po chwili, jak gdyby nabrała silnej woli, utkwiła przerażone spojrzenie w twarzy nowego świadka.

Na stawiane mu pytania odpowiadał pan Skott głośno i dobitnie, a głos jego brzmiał jak dzwon wśród głębokiej ciszy.

Urodziłem się w Londynie, — rzekł krótko, — lecz od dwudziestu pięciu lat żyję w Melbourne w Australii.

— Jesteś pan spokrewniony z familią Mainwaringów?

— Tak, ale tylko przez rozmaite małżeństwa, łączące rodziny Skottów i Mainwaringów. Od pięćdziesięciu lat nie mam żadnych z tymi krewnymi stosunków.

— Wymieniony w testamencie Harold Skott Mainwaring był panu jednak znanym?

— Był to mój najszczerszy przyjaciel, w Australii nawet pracowaliśmy wspólnie w hodowli owiec i w kopalniach złota.

— Jak długo trwała ta spółka?

— Sześć lat mniej więcej.

— Pan byłeś opiekunem obecnego tu Harolda Mainwaringa?

— Tak, od dnia jego przyjścia na świat.

— Jak się to stało?

— Jego ojciec, Harold Skott Mainwaring przeniósł się kilka miesięcy po ślubie do Australii, nie z powodu wydziedziczenia go przez ojca tylko dla tego, że się przekonał o niewierności swej żony. Miał nadzieję, że usunie ją tym sposobem od wszelkich pokus, a mianowicie od widywania się z swoim bratem, który ją też kochał. Ale przekonał się wnet, że wszystko było daremne, a gdy po upływie roku miało się urodzić dziecko, powziął potajemnie zamiar zabrania jej dziecka, nie chcąc, aby niewinnej istoty nie wychowywała taka zła i przewrotna kobieta. O zamiarze tym powiedział mojej żonie i mnie, a że byliśmy bezdzietni, przeto zgodziliśmy się chętnie na jego prośbę. Gdy po przyjściu na świat dziecka pani Mainwaring ciężko była chorą, zajmował się lekarz nią tak wyłącznie, że o dziecko wcale się nie troszczył, mój przyjaciel mógł więc łatwo przynieść swego synka do nas a na miejsce jego położyć chłopczyka, który przed kilku godzinami umarł. W Melbourne wszystko jest możliwe.

Kilka tygodni później odbył się w jednym z małych kościółków na przedmieściu chrzest chłopca, któremu daliśmy imiona jego ojca i w księdze kościelnej zapisany jest jako Harold Skott Mainwaring. Ale nazwisko to przybrał dopiero po dojściu do pełnoletności, aż do tego czasu był dla każdego Harrym Skott tylko i jako takiego poznaliście go państwo w charakterze prywatnego sekretarza Hugona Mainwaringa.

— Możesz pan zaręczyć za prawdziwość listu ojca?

— Mogę.

— Ile lat po urodzeniu się dziecka umarł ojciec?

— Pięć lat! Opuścił żonę gdy wyzdrowiała i żył stale w kopalni. Potem chciał szukać złota w Afryce, i kilka miesięcy po jego wyjeździe otrzymaliśmy wiadomość o zatonięciu okrętu, którym jechał i o jego śmierci.

— Słyszałeś pan kiedy co o tym testamencie?

— Dopiero wtedy gdy Harold pisał nam o nim.

— Możesz pan stwierdzić innemi jeszcze dowodami tożsamość twego wychowańca?

— Owszem. Patrz pan........ — i wyjmując z kieszeni pugilares, wydobył z niego duży arkusz papieru, — otóż te uwierzytelniona kopia z księgi kościelnej św. Bartłomieja z dnia 24-go czerwca roku 18....., odnosząca się do chrztu pierworodnego syna Harolda Skotta Mainwaringa i Eleonory Houghton Mainwaring......

Przerażający krzyk rozległ się na sali. Pani La Grange zemdlona leżała na ziemi.

Frederik Mainwaring wskazał na nią ręką i rzekł pogardliwie:

— Tak, panowie, to ona! Mimowoli potwierdziła najdobitniej moje świadectwo.

Na sali niezmierne zapanowało zamieszanie. Przewodniczący zamknął posiedzenie i naznaczył nowe na godzinę czwartą po obiedzie.

Przegrane!

Posiedzenie popołudniowe bardzo było krótkie, ponieważ więcej świadków już nie było. Pan Sutherland spisał wszystkie przedobiednie zeznania, zaznaczył nietykalność znalezionego testamentu, i teraz miał tylko sąd jeszcze uznać prawa spadkobiercy.

Sala opróżniała się zwolna. Ralf Mainwaring wybiegł szybko w towarzystwie Whiteneya i wsiadł do powozu, dając znaki ręką synowi, aby jechał także z nim, ale Hugon zbliżył się, stanął przy drzwiczkach i rzekł chłodno:

— Jedźcie panowie sami, ja muszę się jeszcze przejść trochę. Na obiad stawię się z pewnością.

Kareta ruszyła i Hugon oddalił się, a gdy przeszedł na drugą stronę ulicy, ujrzał nagle tuż przed sobą Harolda.

— Ah, to ty! — zawołał i podał mu rękę z takiem jasnem i serdecznem spojrzeniem swych niebieskich oczu, że Harold ani na chwilę nie wątpił o szczerości jego uczuć.

— Jakże się cieszę tem spotkaniem! Tęskniłem już za tobą, — wołał Hugon, — sprawiłeś nam wszystkim bajeczną niespodziankę, ale to nie zmienia naszego stosunku!

— Spodziewałem się usłyszeć to od ciebie, — odrzekł Harold z równą serdecznością, — moje zaufanie do ciebie nie zawiodło mnie wcale. Przykro mi tylko, że wtenczas nie mogłem ci wszystkiego powiedzieć, gdy była mowa o niespodziankach, jakie w przyszłości spotkać nas mogą.

— Pociesz się, mnie to tak dalece nie interesuje, — roześmiał się Hugon wesoło. — Myślałem zaraz, że masz jakieś plany, i chociaż nie mogę mówić, aby mnie dzisiejsza niespodzianka bardzo była uszczęśliwiła, to jednak zaręczam ci, że nikomu w świecie nie oddaję tak chętnie tego, co już uważałem za własne, jak tobie!

— Dziękuję ci Hugonie! Nie uwierzysz, jak się cieszę z naszego spotkania. Teraz odwiedzisz mnie też pewnie wkrótce. Mam ci dużo do opowiadania!

— Bardzo chętnie. Ja cię niestety zaprosić nie mogę, ale sam przyjdę wnet do ciebie! Do widzenia!

Obydwaj uścisnęli sobie ręce i rozeszli się.

W hotelu wręczył Haroldowi portyer list z nadmienieniem, że posłaniec czekał nieomal godzinę, aby zabrać zaraz z sobą odpowiedź. Harold spojrzał na list i wiedział od kogo pochodzi, twarz jego zachmurzyła się mocno, lecz wziął go, i gdy stanął w swoim pokoju, następujące przeczytał słowa:

„Mój synie! Muszę się koniecznie dziś jeszcze widzieć z tobą. Przyjdź o piątej do mnie! Na miłość Boską, nie odmawiaj tej mojej prośbie. Mam ci do powiedzenia coś, czego nawet przypuszczać nie możesz!

Twoja nieszczęśliwa matka

Eleonora Houghton Mainwaring."

Harold rozmówił się natychmiast z swoimi adwokatami i napisał, że przyjdzie. Kilka minut przed piątą udał się do hotelu, w którym mieszkała pani La Grange.

Oczekiwała ona przybycia jego z nieopisanym niepokojem. Po przebytych wzruszeniach na sali sądowej nie ochłonęła jeszcze zupełnie, starała się jednak panować nad sobą i przygotować na rozmowę z synem. Rozmowa ta miała rozstrzygnąć całe jej przyszłe życie. Chodziło o ostatnią, rozpaczliwą walkę jeżeli ją wygra — dobrze, jeżeli nie — wtedy wszystko, wszystko stracone! Zbudzona w jej sercu miłość macierzyńska dodawała jej nadziei, ale wspomnienie przeszłości pogrążało ją zawsze na nowo w strachu, zwątpieniu i rozpaczy. Walka była nierówną, nadzieja jednak przeważała wszelkie inne uczucia.

Kilka minut przed piątą kazał się zameldować Hobson. Pani La Grange wiedziała, czego chciał, chwilowo przecież nie mogła go przyjąć, bo za nic w świecie nie miał człowiek ten wiedzieć o tem, że oczekiwała syna!

— Niech przyjdzie jutro, — rzekła krótko.

— Ale to pilna sprawa, — ośmielił się zauważyć służący.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z bieżącej chwili.

Czterdziestolecie Sokolstwa polskiego.

I.

Lwowskie gniazdo Sokól-Macierz święciło czterdziestolecie swego istnienia. Sokół Macierz jest pierwszem gniazdem sokolem w Polsce, stąd też jubileusz czterdziestoletniej pracy Sokoła Macierzy możemy słusznie uważać za jubileusz całego Sokolstwa polskiego. I godzi się w tej świątecznej, uroczystej chwili przypomnieć jego dzieje i dzieje naszego Sokolstwa.

— — — — — — — — —

Na I-szy zlot sokoli we Lwowie w roku 1892 przysłał najznakomitszy poeta polski Adam Asnyk następujący wiersz:

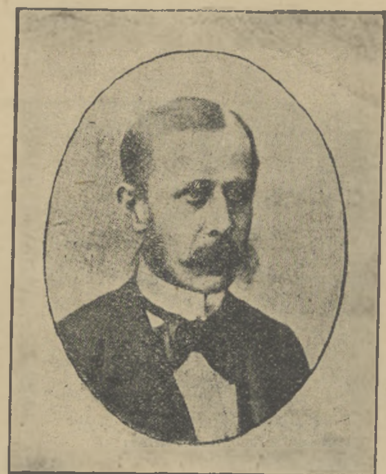
Do lotu bracia Sokoły
Rozwińcie skrzydlate hufce;
Gdzie blask jutrzenki wesoły,
Tam dążcie w swojej wędrówce,
Do ciał i duchów rozkwitu
Do pełni ludzkiego bytu!

Zatoczcie nad naszą ziemią
Słonecznych polotów kręgi
I budźcie tych, którzy drzemią,
Hasłem wskrzeszonej potęgi
I tchnijcie ożywcze moce
W smutne dziedzictwo sieroce.

Z uczuciem szlachetnej dumy
Prowadźcie, o przodownicy!
Zwątlone, skarlałe tłumy
Do czystej życia krynicy,
Aby się rzesze napiły
Ze źródeł młodości i siły.

Niech potężnieją ramiona!
Niech się rozrasta szeroko
Pierś silną wolą natchniona,
A męstwem zapłonie oko,
Cielesna niemoc niech znika,
Z nią nędzny duch niewolnika!

Z fizycznej siły wykwita
Sił wyższych czynność społeczna
I mądrość w środki obfita
I miłość budzi słoneczna
I wielkich poświęceń zdolność
Za wiarę, Ojczyznę, wolność!



Klemens Żukotyński.

Więc naprzód, dzielna drużyno
W świetlanym kąp się błękicie,
A dla tych, co marnie giną,
Chcąc nowe wywalczyć życie,
Z niezłomną wolą postanów
Przemienić karły w tytanów.



Ludwik Goldental.

W szeregu wierszy Sokolstwu poświęconych nie masz żadnego, coby tak dobitnie i wyraziście przejrzał i myśli i duszę i cele Sokolstwa.

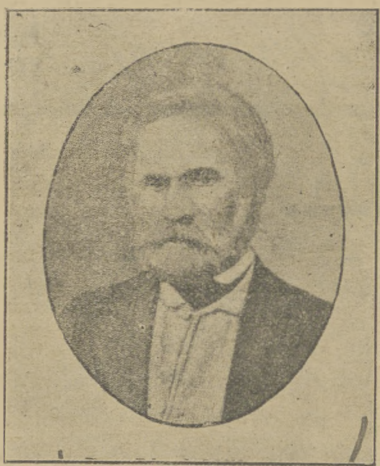
Powstało ono wówczas, kiedy duch narodu popadł w zwątpienie, gnuśność i niewiarę w swoją przyszłość. Rok 1863 nie przyniósł Polsce zwycięstwa; Moskal i rząd carski jął się tak strasznych prześladowań, tak srogich represyi, iż zdawało się, że społeczeństwo nie przetrzyma naporu carskiego. Społeczeństwo popadło w rozpacz; ogarnęła je zupełna niemoc, a największym poklaskiem cieszyły się hasła, wyrzekające się najdroższych naszych pragnień, wyrzekające się wszelkich praw do tego bytu, o które walczyły powstania, od kościuszkowskiego począwszy do styczniowego.

Nie upadła na duchu młodzież polska. Oto wówczas, gdy społeczeństwo całe, przytłumione krwawemi prześladowaniami, zdawało się tracić wszelką nadzieję, w sferach młodzieży lwowskiej wszczyna się ruch narodowy. W tym czasie powstaje najstarsze w Polsce stowarzyszenie akademickie: „Bratnia Pomoc studentów uniwersytetu" i „Czytelnia akademicka" we Lwowie. Z łona tej samej młodzieży powstaje projekt zawiązania towarzystwa gimnastycznego.

Tradycye po temu istniały dawniej jeszcze. Przed wybuchem styczniowego powstania nosił się z myślą zawiązania takiego stowarzyszenia poeta *Mieczysław Romanowski.* Jako jeden z przywódców młodzieży organizował przed powstaniem młodzież, która miała się do niego przygotowywać. Widział upadek rozwoju fizycznego wśród ogółu i chciał to naprawić przez powołanie do życia towarzystwa, któreby opiekowało się rozwojem ciała i dążyło do przysposobienia narodowi jednostek zdrowych i fizycznie silnych. Wybuch powstania i śmierć w potyczce Mieczysława Romanowskiego prze-

szkodziły zawiązaniu takiej organizacyi.

Przetrwała jednak idea, myśl przewodnia poety. Oto za inicyatywą *Klemensa Żukotyńskiego,* prawnika, i *Ludwika Goltentala,* studenta politechniki zawięzuje się we Lwowie Towarzystwo gimnastyczne. Społeczeństwo



Dr. Józef Milleret.

myśl jego przyjmuje życzliwie, bo od razu wpisuje się 120 członków. Pierwsze walne zgromadzenie po zatwierdzeniu przez władze statutu dnia 7-go lutego 1867 roku wybiera przewodniczącym dra *Józefa Millereta,* lekarza nadwornego ówczesnego namiestnika Galicyi Agenora Gołuchowskiego, aby w ten sposób uniknąć prześladowań politycznych. Do pierwszego zarządu wchodzą: Jan Aleksander Fredro jako zastępca przewodniczącego, Eligiusz Białoskórski, Jan Dobrzański, Herman Fraenkl, Ludwik Goltental, Karol Mikuli, Jan Milikowski, Paweł Braun, Zygmunt Sawczyński, Zyg. Rieger, Stan. Stobiecki, Henryk Teisseyre, Jan Żapłachta, Klemens Żukotyński. Towarzystwo gimnastyczne, które w roku 1869 przybrało nazwę „Sokoła", zaczyna funkcyonować żywo. Przy ul. Jagiellońskiej 11 w małym pokoiku zaczynają odbywać się ćwiczenia gimnastyczne.

Nowość zrazu zaciekawiła i zajęła wielu. Początkowo szczupła salka nie mogła pomieścić ćwiczących. Ale u nas zapał w pierwszej chwili unosi ogół, który potem w gorliwości upada, aż wreszcie zapomina prawie. Tak i z Sokołem. Liczba członków, okazała na początek, poczyna topnieć tak szybko, że w lat parę spada do 49. Najrozmaitsze szykany ze strony władz i nieprzyjemności ze strony samego społeczeństwa poczynają źle oddziaływać na dra Millereta, który wreszcie 10-go października 1870 roku rezygnuje. Była to chwila dla Sokoła groźna: we Lwowie powstaje nowe towarzystwo gimnastyczne: „Orzeł Biały", mający konkurować z Sokołem.

Mimo to Sokół przetrwał burzę, a że ją przetrwał, zasługa w tem wielka *Jana Dobrzańskiego,* znakomitego publicysty i pisarza, który objął przewodnictwo Towarzystwa 18 czerwca 1871 i dzierżył je przez lat 15, do zgonu 29 maja 1886 roku. W Dobrzańskim zyskał Sokół siłę nieposlednią i dzielnego kierownika. Towarzystwo ożywił i umiał przezwyciężyć bierność społeczeństwa. W tym czasie lwowska Rada miejska powierza kierownictwo nauki gimnastyki w szkołach miejskich Sokołowi, za inicyatywą jego powstaje straż ochotnicza, która się z czasem wyodrębnia w stowarzyszenie samoistne (od r. 1875). W samem Towarzystwie wzrasta zapał do gimnastyki, obudza się ruch towarzyski wieczornicami sokolemi i amatorskiemi przedstawieniami. Za staraniem Dobrzańskiego głównie kształcą się nasi miłośnicy gimnastyki na fachowych jej nauczycieli — głównie w Pradze — aby



Antoni Durski.

potem módz pracować we własnych gniazdach.

Ale najważniejszym wypadkiem za dziejów przewodnictwa Dobrzańskiego — to założenie pierwszej Sokolni polskiej, powstanie pierwszego gmachu. Myśl ta kiełkowała od dawna, a wprowadzeniu jej w czyn przeszkadzał brak funduszów. Dzięki zachodom i ofiarności publicznej stanął wreszcie gmach przy ul. Zimorowicza, a otwarcie pierwszego w Polsce gniazda sokolego przypada na dzień 2 grudnia 1884 roku.

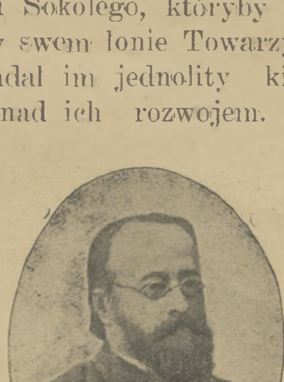
W tym mniejwięcej czasie zaczyna wychodzić „Przewodnik gimnastyczny" (w roku 1881) przy pomocy dra Tadeusza Żulińskiego, A. Durskiego, dra Antoniego Dzięndzielewicza, dra Żegoty Krówczyńskiego. Szerzyło pismo ideę sokolą; a poczytność jego wzrastała z rokiem każdym. Po czterech latach istnienia cyfra bitych egzemplarzy przekraczała 3 000, a dziś prowadzony przez dra Ksawerego Fiszera i Tadeusza Witwickiego, idzie w świat w dwudziestu kilku tysiącach egzemplarzy.

Rok 1884 w rozwoju Sokolstwa tworzy ważną datę. Prócz powstania pierwszego gmachu sokolego notuje inne doniosłe fakty.

W sierpniu 1884 od 17 do 19 goszczą w Krakowie Sokoli czescy. Sprawność i karność, rzutkość i energia tak oddziaływują na zebranych, że wnet po Polsce poczynają siać się nowe gniazda sokole.

Tak więc Stanisławów daje przykład dobry; w sierpniu stwarza placówkę pierwszą; za nim idzie Tarnów, Kraków i szereg miast innych. *Idea sokola przekracza kordon i w styczniu 1885 roku ścieli sobie pierwsze gniazdo w zaborze pruskim, w Inowrocławiu.* Odtąd wzrasta niepowstrzymanie Sokolstwo, rozszerzając swe placówki po całej Polsce, przedzierając się za Ocean, tworząc swe organizacye w Ameryce Północnej, w Stanach Zjednoczonych, gdzie obecnie istnieje odrębny Związek Sokoli, — przekraczając wreszcie w roku 1906 kordon rosyjski, tworząc siedziby swe w Warszawie, w miastach rozlicznych Królestwa, a nawet wśród Polaków w Mińsku i Petersburgu.

Wzrost Sokolstwa powoduje pierwszy Zlot Sokolstwa w czerwcu 1892 roku we Lwowie, urządzony w 25 letnią rocznicę powstania Sokoła. Na tym Zlocie powstaje myśl zawiązania Związku Sokolego, któryby rozogniskował w swem łonie Towarzystwa sokole, nadał im jednolity kierunek i czuwał nad ich rozwojem. Zatwier-



Tadeusz Romanowicz.

dzony przez władze w styczniu 1893 kierowany był przez Tadeusza *Romanowicza* (1893 do 1897), Antoniego *Dzięndzielewicza* (1898), a odtąd przez dra Ksawerego *Fiszera,* jako przewo-

dniczącego i Władysława *Turskiego* i Antoniego *Romanowskiego* jako zastępców.

W ślad za Galicyą idzie zabór pruski. 17 lutego 1895 zawięzuje się *Związek Sokołów polskich w państwie niemieckiem*, a pierwszym i do dziś władającym prezesem zostaje dzielny i energiczny Bernard *Chrzanowski*, a zastępcą prezesa początkowo dr. Władysław *Rabski*, potem poseł dr. Antoni *Chłapowski.*

Popularyzowały ideę sokolą Zloty: drugi odbył się w czasie wystawy krajowej we Lwowie w roku 1894, trzeci w Krakowie w 1896 r. Najokazalszym i najbardziej majestatycznym był IV Zlot Sokolstwa Polskiego we Lwowie. Przybyli druhowie z Poznańskiego i Czesi i Chorwaci. Zlot przemienił się w manifestacyę narodową. „Dusza Sokolstwa przemówiła gorącem i wymownem słowem czynów swoich i zasad do duszy narodu i oto odpowiedź jego stwierdziła, że te dwie dusze mają myśl jedną.

„Kto widział zacne łzy — pisał „Przewodnik gimnastyczny“ w 1903 roku — w oczach tych tysięcy, kto czuł, jak tajały ich dusze, a wzbierały serca, temu nie trudno zrozumieć, że tysiące te otworzyły nam serca i ramiona, aby dać świadectwo prawdzie, żeśmy krew z ich krwi, kość z ich kości, i że idea nasza i praca i teren jej znajdą w nich zawsze gorące uznanie i żywy współudział i stanowczy protest przeciw wszelkiej nieszlachetności, przewrotności i bezczelności.

„I to właśnie najpiękniejszą koroną zlotu naszego, że przygotowaniem swojem i przebiegiem, karnością i zapałem każdego uczestnika chciał przemówić do przekonań widzów, a zdobył serce narodu, że za pomocą ćwiczeń, wejść i rozstępów chciał dać oczom widok sprawności naszej i harmonii ruchów a porwał dusze dla tej myśli dla której sprawność nasza i harmonia ruchów środkiem jest nie celem....“

Odtąd dzieje Sokoła szły tempem miarowem wciąż naprzód. Społeczeństwo uznało donioslość społeczną i wielkość organizacyi,, która wypisała na swym sztandarze zasadę: „w jedności siła,“ a za hasło swe wzięła: „w zdrowem ciele silny duch“.

Ukochało społeczeństwo i pierwsze towarzystwo sokole, Sokołem-Macierzą zwane. Miarą tego ukochania Sokoła-Macierzy i całego Sokolstwa, to zlot okręgowy, odbyty 29 i 30 czerwca i 1 lipca we Lwowie. *M. N.*

Zjazd pisarzy polskich-katolickich w Warszawie.

Faktem jednym z najwybitniejszych z chwili bieżącej był zjazd pisarzy i dziennikarzy polskich-katolickich w Warszawie. Zjazd ten obradował przez trzy dni; poszczególne kwestye omawiano w czterech sekcyach, na ogólnem zaś posiedzeniu uchwalono szereg rezolucyi.



Dr. Ksawery Fiszer.
Patrz artykuł p. t. „Czterdziestolecie sokolstwa polskiego“).

Kierownikiem, — że się tak wyrazić można — duchowym zjazdu był J. E. *arcybiskup Teodorowicz* ze Lwowa. Już we wstępnem przemówieniu swem, zaznaczając znaczenie zjazdu, dostojny mówca w słowach gorących, nacechowanych ogromną miłością ojczyzny i pragnieniem dobra kraju, przestrzegał przeciwko jednostronności sądów i



Władysław Turski.
(Patrz artykuł p. t. „Czterdziestolecie Sokolstwa polskiego“)

zadań. Katolicyzm, według mówcy, powinien służyć tylko za podstawę w pracy; nie powinien on, zwłaszcza u nas, w czasach obecnych, zniechęcać do siebie i rozdwajać, lecz przeciwnie, jednoczyć w pracy obywatelskiej. Nie może i nie powinien jej nadawać znaczenia wyłączności wyznaniowej, która może odstręczałaby niejednego z tych, co będąc pożytecznym w tej pracy, nigdy ani przeciwko wierze, ani przeciwko Kościołowi nie występują. Niech wielkie hasło katolicyzmu nie pokrywa nigdy marnej nieraz roboty tendencyi osobistych.

Duchowieństwo i wogóle szczerzy katolicy powinni brać gorący udział w *pracy ogólno-narodowej i nawet jej* przodować, jednocząc wszystkich w tej pracy. Leon XIII był zwolennikiem tworzenia demokracyi chrześciańskiej, a nie wyłącznie katolickiej. Centrum niemieckie dla tego jest tak silne, że nie wystawia wyłącznie etyki katolickiej, a Papież Pius X, akceptując to najzupełniej, również dał wskazówkę, że nie powinno się dążyć do takiej wyłączności. Tylko zbożną wspólną pracą z całem społeczeństwem możemy osiągnąć najlepsze skutki zarówno dla wiary naszej, jak i dla naszego narodu.

Jeszcze silniej poglądy swoje zaznaczył arcybiskup w przepięknej mowie pożegnalnej, w której wyłożył jakby program zasadniczy działania pracy zarówno Kościoła, jak i katolików wogóle, ze szczególnem uwzględnieniem prasy katolickiej. Nie kusimy się o streszczenie tej wspaniałej mowy, tyle w niej było wskazań i rad mądrych, tyle miłości i prawdy, tyle samokrytycyzmu i znakomitej charakterystyki prądów współczesnych, że tylko dosłowne przytoczenie jej mogłoby przynieść istotny i wielki pożytek; zaznaczamy tylko, że najdostojniejszy mówca żądał przedewszystkiem pogłębienia doktryny katolickiej, przyoblekania starych prawd wiary w nowe formy przystosowane do cywilizacyi współczesnej; zalecał nieodrzucanie wszelkich dorobków cywilizacyjnych zarówno w sztuce jak i literaturze dla tego tylko, że cechuje je brak wiary, a często nawet przeciwnych tej wierze, lecz staranie się wykorzystać je dla nauki Chrystusa. Nie wyosabniać się zatem, lecz iść wszędzie i starać się jakby wkładać we wszystko pożywny chleb Chrystusa. Odnośnie do naszych stosunków, arcypasterz nawoływał, żeby pod płaszczem katolicyzmu nie siać niezgody, ażeby poświęcać się dla pracy nad ludem, ażeby unikać wszelkich uprzedzeń, chęci panowania dla tego tylko, że jest się katolikiem, lecz przeciwnie, być obywatelem kraju na równi z innymi. Tylko jednocząc wszystkich na różnych polach pracy, zdoła Kościół zapewnić sobie największe szeregi wiernych.

Nie wstydząc się swej wiary, nie

wystawiać wszędzie godła katolicyzmu, gdzie to nie jest konieczne, nie uogólniać oskarżeń, nieraz opartych jedynie na nieporozumieniu lub działaniu poszczególnych osób. Zwłaszcza trzeba unikać powodowania się ambicyami i nie psuć rzeczy nieraz ważnej dla kwestyi drugorzędnych. Nie chcę, powiedział w zakończeniu, panować nad kimbądź, lecz być sługą najszczytniejszej pracy narodowej.

Mowę czcigodnego Arcypasterza przerywały co chwila burzliwe oklaski, a po ukończeniu wszyscy powstali z miejsc i uczcili go hucznym okrzykiem „Niech żyje!“

Brak miejsca nie pozwala nam na streszczenie przebiegu zjazdu, który — jak należy się spodziewać — wyda plon należyty, a w pamięci jego uczestników zapisze się zgłoskami niezatartemi.

W stuletnią rocznicę narodzin bohatera.

(Giuseppe Garibaldi.)

Imię Józefa Garibaldiego było jednem z tych świetnych i promiennych imion dziewiętnastego stulecia, które niezatartemi zgłoskami zapisały się w pamięci naszych ojców i dziadów. Garibaldi należy do całej ludzkości, do wszystkich warstw i narodów, bo jego ognista miłość wolności ogarniała tych i tamtych, wszelakie narody na obu półkulach, stwierdzała czynem hasło, że:

„W szczęściu wszystkiego są wszystkie cele“.
Jako był tego rodowód i wierzenie?

Równolegle z wielkim strumieniem romantyzmu w poezyi płynął strumień nie mniej potężnego romantyzmu w polityce.

Wiktor Hugo i Michelet, Mickiewicz i Słowacki, Fichte i Heine, Kossuth i Petöfi, Lermontow i Hercen, oto rodzina tych rycerzy słowa i czynu, którzy wierni ideałowi swobody, z żarem niegasnącego patryotyzmu w piersiach, rzucili pod stopy przeznaczenia pomyślność i dobro osobiste, nie przestali nigdy walczyć i protestować.

Z takiej rodziny moralnej, z pośród tych romantyków, pochodzili Mazzini i Garibaldi, szczęśliwsi od innych patryotów, bo doczekali się wyzwolenia swej ojczyzny, doczekali się jedności Włoch. Na wielkim gmachu restauracyi włoskiej jaśnieją ku chwale najodleglejszych czasów ich nazwiska.

Śmielej należałoby tu może dodać, że w tej Italii, obdarzonej wyjątkowemi i taktownemi zdolnościami politycznemi, obok tych bohaterów, jaśniejących cnotami i męstwem, żyli i działali, a raczej współdziałali z nimi, tacy znakomici realiści, tacy biegli i wytrawni mężowie stanu, jak Cavour i Wiktor Emanuel. Wynika ztąd kategoryczna wskazówka, że natura polityki, jak zresztą i natura każdego wielkiego przedsięwzięcia ludzkiego, wymaga równomiernego połączenia zapału z rozsądkiem, śmiałości z rachubą umysłu.



Ignacy Romanowski.
(Patrz artykuł p. t. „Czterdziestolecie Sokolstwa polskiego“).

Tę sztukę posiadali zarówno mężowie Odrodzenia włoskiego z XV-go i XVI-go, jak i mężowie zjednoczenia włoskiego z dziewiętnastego stulecia. Nam w walkach o niepodległość brakowało tej umiejętności łączenia przeciwnych pierwiastków, brakuje nam jej i obecnie, poza uderzającą jednostronnością i zwodniczością umysłu.



Dr. Kazimierz Czarnik.
(Patrz artykuł p. t. „Czterdziestolecie Sokolstwa polskiego“).

I stąd studyum polityki włoskiej minionej niedawno epoki byłoby nad wyraz pożyteczne.

Garibaldi, którego stuletnią rocznicę urodzin obchodziła świeżo wdzięczna ojczyzna, należał, pomimo udręczenia całego życia, do szczęśliwych, bo mu danem było wyrazić w pełni potrzebę swego ideału i sumienia.

Bol. Lutomski.

* * *

Cała działalność Garibaldiego, całe jego życie tak ściśle jest złączone z losem jego ojczyzny, że chcąc się zapoznać z żywotem bohatera, raz po raz do historyi Włoch powracać należy. Poznać i zrozumieć Garibaldiego można dopiero wtedy, kiedy się pozna i zrozumie marzenia i nadzieje, rozpłomieniające lepszą połowę społeczeństwa włoskiego w początku XIX. wieku.

W czasie tym nieszczęsny los polityczny włoskiej ziemi począł zakrzątać myśli najlepszych jej synów. Krótkie panowanie Napoleona I. we Włoszech ukazało im jutrzenkę politycznej niepodległości i od tego czasu za wyłączny cel wszystkich swoich pragnień, powzięli wyrwanie ojczyzny z owego stanu politycznej bezwładności, w którą pogrążyły ją historyczne losy apenińskiego półwyspu.

Jeżeli duch czasu i naturalna ewolucya poglądów politycznych sprzyjały pomyślnemu rezultatowi walki Włoch o niepodległość, w równym stopniu zawdzięcza ona to owym wielkim swoim synom, którzy nie wahali się poświęcić jej wszystkich swych sił i bezgranicznej swej miłości. W imponującej potędze występują owe cztery tytany politycznego odrodzenia: Mazzini, Garibaldi, Cavour i Wiktor Emanuel.

Z nich czterech najpopularniejszym i w sprawie zjednoczenia ojczyzny może najbardziej zasłużonym jest Giuseppe Garibaldi.

Przyszedł na świat w Nizzy w dniu 4-go lipca 1807 roku, w tym samym pokoju, w którym ujrzał światło dzienne Massena. Był drugim z kolei synem Dominika i Róży z domu Bogiado. Sielskie dzieciństwo spędził w dostatku, w rodzicielskim domu, nad brzegiem morza. Pochodząc z rodziny marynarskiej, począł wcześnie z morzem obcować, nauczył się pływać jak ryba i doszedł do doskonałości w sztuce żeglarskiej, co mu się nieraz w życiu przydać miało. Z rodzicami łączył go zawsze najserdeczniejszy stosunek. Szczególniej matka była dla Garibaldiego przedmiotem osobliwej czci. W pamiętnikach, które pozostawił po sobie, kreślonych twardem piórem żołnierza, wspomnieniu jej zawsze najtkliwsze poświęca słowa: „Moja matka! Z dumą zapewnić mogę, że była ona wzorem dla innych matek. Miłości, słodyczy anielskiego jej charakte-

ru zawdzięczam też odrobinę tych dobrych popędów, które we mnie się odzywają. Współczuciu mej matki, okazywanemu bliźnim, jej charakterowi, miłosierdzia i dobroczynności pełnemu, zawdzięczam zapewne to, że nagrodą jest mi sympatya i miłość moich nieszczęśliwych, ale dobrych współziomków!"

Wykształcenie otrzymał Garibaldi dość zaniedbane i dopiero później, w życiu, sam je uzupełnił. W pamiętnikach, któremi w opowiadaniu jego żywota wyręczać się będziemy, przyznaje się do tego: „Panu Areno, memu trzeciemu nauczycielowi, zawdzięczam głównie tę odrobinę wiedzy, jaką posiadam. Kochając całą siłą duszy od najmłodszych lat kraj mój rodzinny, żywiłem pragnienie zapoznania się ze wszystkiem, co dotyczyło jego zjednoczenia. Chciwie też czytałem dzieła, broszury i pisma różnorodne w tym przedmiocie. Ale do dwudziestego czwartego roku życia nie widziałem przed sobą wytkniętego kierunku i napróżno sam sobie zadawałem pytania."

Odbywając wyprawy morskie, Garibaldi kształcił się coraz bardziej, wypełniając tym sposobem luki zaniedbanego wychowania. Pewnego razu, po przybyciu do Taganrogu, wszedł do skromnej traktyerni, gdzie się zazwyczaj zbierali włoscy marynarze na szklankę wina. Z młodzieży, która tam siedziała, jeden należał do *„Młodych Włoch,"* stowarzyszenia, założonego na krótko przedtem, przez Mazziniego. Garibaldi po raz pierwszy w życiu usłyszał gorącą mowę młodego patryoty, podnoszącego cierpienia ojczyzny. Z zapałem, właściwym młodemu wiekowi, członek *„Młodych Włoch"* dowodził, że powstanie zbrojne jest jedyną drogą, prowadzącą do wyzwolenia ojczyzny. Dla Garibaldiego przemówienie to było pewnego rodzaju objawieniem. „Jestem pewien, — powiada on — że Kolumb nie doznał tyle radości, odkrywając Amerykę, ile ja, usłyszawszy słowo *Oczyzna.* A więc są ludzie, którzy myślą o wyzwoleniu ojczyzny."

Wtedy to Garibaldi złożył przysięgę, że gotów jest oddać życie za ojczyznę.

Stosunki z Mazzinim, którego poznał w Marsylii, w 1831 roku, dokonały reszty. Młody wyznawca tak gorliwie zajął się krzewieniem nowej wiary, że w dniu 5-go lutego 1834 roku zmuszony był opuścić Genuę w przebraniu włościanina. I odtąd rozpoczął nowe życie. W parę dni potem przeczytał swe nazwisko w jednym z dzienników. Był to wyrok śmierci nań wydany i powtórzony w marsylijskim *„Popolo sartano."*

Ameryka była w owym czasie miejscem ucieczki dla Włochów, ściganych za przestępstwo polityczne; tam znajdowały ujście żywotne siły młodzieży włoskiej, gotującej się do walki. Śladem innych poszedł też Garibaldi:



Mecenas Bernard Chrzanowski.
(Patrz artykuł p. t. „Czterdziestolecie Sokolstwa polskiego").

przyłączywszy się do jednej z partyi, stał się uczestnikiem walk, toczących się naówczas w Ameryce Południowej i po długiem zmiennem powodzeniu, które mu nawet nie oszczędziło dwugodzinnej strasznej tortury, zadanej w



Rys. Wintarowskiego.
Afisz ostatniego zlotu Sokołów we Lwowie.
(Patrz artykuł p. t. „Czterdziestolecie Sokolstwa polskiego").

więzieniu, kiedy został jeńcem wojennym, doszedł nareszcie do takiego rozgłosu, jako nieustraszony żołnierz i dzielny dowódzca, że sława jego przeszła morze i we Włoszech rozszerzać się poczęła.

Nie rozwodząc się nad szczegółami tych walk, zwłaszcza, że osobliwą uwagę zwrócić chcemy na działalność Garibaldiego w ojczyźnie, nie możemy jednak pominąć epizodu, który się rozegrał w Ameryce, a wśród surm bojowych pomiętnika, serdeczną, dziwnie prostą, podzwania nutą: „W tym czasie zaszedł jeden z najważniejszych wypadków mego życia. Nie myślałem nigdy o ożenieniu się, sądząc, że w mej, pełnej przygód karyerze, małżeństwo ograniczałoby niezależność. Posiadanie żony i dzieci wydało mi się rzeczą najniewłaściwszą dla człowieka, poświęcającego się, jak ja, sprawie publicznej, tak dalece, że nigdy nawet nie zamarzyłem o utworzeniu własnej rodziny i własnego ogniska domowego. Lecz człowiek strzela, a przeznaczenie kulę nosi. Czułem, że potrzebuję kogoś, coby mnie kochał; czułem, iż bez tej miłości zginę. Byłem już w tym wieku, iż wiedziałem, jak trudno zdobyć sobie przyjaciela. A przyjacielem takim mogłaby być jedynie kobieta. Nie osiągnąłbym nigdy celu, gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności. Spotkałem się z pewnym tamtejszym mieszkańcem, którego poznałem zaraz po przybyciu naszem do *Laguny.* Otóż znajomy ten zaprosił mię na kawę. Na samym wstępie ujrzałem moje bóstwo. Była to Anita! Przyszła matka moich synów! Towarzyszka mego życia w dobrej i złej doli! Powitałem ją i rzekłem: „Musisz być moją!" Śmiałość moja była wielka, zadzierzgnąłem węzeł, który tylko jedna śmierć mogła rozwiązać. Spotkałem skarb, ale skarb nieoceniony."

Walcząc na obczyźnie za cudzą wolność, Garibaldi ani na chwilę nie zapominał o swoim kraju; to też zaledwie doszła go wieść w Ameryce o paryskiej rewolucyi lutowej, siadł na okręt z legionem włoskim w dniu 15-go kwietnia 1848 roku i podążył do Reverbello, ofiarując usługi swe królowi Albertowi, władcy Piemontu, który wspierając powstanie Lombardzkie, wypowiedział wojnę Austryi. Przyjęty obojętnie, zdecydował się działać na własną rękę i po upadku Medyolanu, rzucił się z pomocą Rzymskiej rzeczypospolitej, na czele której stał tryumwirat: Armelini, Saffi i Mazzini. Zaraz w pierwszem starciu się z Francuzami pobił jenerała Oudinot'a pod murami Rzymu, ale nie mogąc wyzyskać zwycięstwa z powodu oporu Mazzini'ego, rzucił się na południe, chcąc odciąć armię króla Ferdynanda II-go od Neapolu. Po zwycięstwie pod Veletri powrócił z legionem swym do Rzymu, lecz tu uledz musiał przeważającym siłom Francuzów. Rzym został wzięty szturmem,

rzeczpospolita upadła, a Garibaldi musiał uchodzić z miasta.

„Moja poczciwa Anita — pisze w pamiętniku — wbrew moim prośbom postanowiła mi towarzyszyć.

Przez Tivoli, Terni ,góry Apenińskie, dotarli do San Marino. Na trzynastu barkach opuścili port w Casenatico; Anita z pragnienia odchodziła od zmysłów. Już w pobliżu Wenecyi dostrzeżeni przez eskadrę austryacką, zmuszeni byli skierować łodzie ku brzegowi. Garibaldi wziąwszy w ramiona konającą żonę, po wyjściu z łodzi ułożył ją na brzegu, a potem ukrył ją śród pól, zasianych prosem. Wreszcie udało mu się znaleść schronienie dla umierającej.

...„ponieśliśmy Anitę ku Mandrioli, Wtedy spostrzegłem na obliczu jej dziwny wyraz spokoju. Ująłem kochaną moją za rękę... Była zimna i puls bić przestał. Anita, matka synów moich, żyć przestała!!!“

I znowu rozpoczęła się tułaczka po świecie. Wygnany z ojczyzny, Garibaldi udaje się do New Yorku, gdzie, nie mając środków do życia, zakłada spółkę z fabrykantem świec. Zawód ten zamienił z czasem na bardziej korzystny handel morski i wtedy to, zachwycony, podczas jednej z licznych podróży, dziką pięknością wyspy Caprery, kupił na razie część, a następnie nabył całą na wyłączną własność. Odtąd, o ile nie walczył za wolność i zjednanie ojczyzny, zajmował się pracą w skromnej zagrodzie na pustynnej wysepce.

W lutym 1859 roku Garibaldi został powołany do Turynu przez hr. Caveura. Mianowano go dowódzcą *strzelców alpejskich.* Na czele licho uzbrojonych, i często przymierających głodem żołnierzy, spadł, jak piorun, na Austryaków, pobił generała Urbana pod Vareste, zajął bez wystrzału Como i zwycięztwem pod Treponte ułatwił Napoleonowi wiktoryę Solferińską.

Nader bolesnym dla bohatera ciosem stała się wieść o przerwaniu wojny z Austryą i ustąpieniu Francuzów na mocy traktatu w Villafranca Sabaudyi i rodzinnej jego Nizzy.

Nie mogąc pogodzić się z kunktatorską polityką dworu turyńskiego, postanowił działać na własną rękę. W d. 5-go maja 1860 r. wypłynął w tajemnicy z Genui na dwu parowcach z tysiącem dobranych ochotników i wylądowawszy na Marsali, pobił burbońskie wojska pod Catalafimi, a następnie zajął — Palermo. Zdobycie fortecy Milazzo i poddanie się Messyny dopełniło podboju wyspy.

Do Neapolu wjechał sam, bezbronny, nie bacząc na to, że szańce i forty były jeszcze zajęte przez wojska burbońskie. Kiedy jego powóz znalazł się nawprost bateryi pomiędzy arsenałem a dworcem kolejowym, obsługujący ją żołnierze zamierzali dać salwę, lecz Garibaldi stanął w powozie i z majestatycznym spokojem, skrzyżowawszy ręce na piersi, uśmiechnął się do nich. Oczarowani tem żołnierze, zamiast strzelić, oddali mu honory wojskowe.

Chwila ta zadecydowała o zjednoczeniu Włoch.

Obrany dyktatorem Garibaldi przekazał władzę Wiktorowi Emanuelowi i odrzuciwszy ofiarowane mu honory, powrócił z garstką przyjaciół na Caprerę.

Polakom był on zawsze serdecznie oddany.

Kiedy go doszła wiadomość o powstaniu polskiem w 1863 roku, dał wyraz swoim dla nas uczuciom: „Polska walczy kosami i lancami, zwróconemi w pierś nieprzyjaciela. *Zarówno zwycięztwo, jak i męczeństwo, przyniosą*



Guiseppe Garibaldi.

korzyść tej sprawie. Zwracając się do ludów Europy nawoływał: *„Nie opuszczajcie Polski!“*, a Polakom, którzy go o pomoc prosili, odpowiadał: *„Jeśli Bóg pozwoli, wszyscy będziemy z wami i to w najbliższym czasie!“*

Ale losy zrządziły inaczej: nie mogąc sam przybyć, wysłał nam co najdzielniejszych Garibaldyjczyków, pod wodzą Franciszka Nulla, który mu był druhem serdecznym i jednym z *tysiąca* z pod Marsali. Nie poszczęśliwiło się u nas synom włoskiej ziemi. Nullo zginął natychmiast po przejściu granicy pod Krzykawką, a jego rodacy poznać musieli katorgę syberyjską, zanim w uszczuplonem gronie wolno im było powrócić do słonecznej Italii.

Wł. Nawrocki.

* * *

Uroczystość Garibaldiego w parlamencie włoskim święcono w dniu stuletniej rocznicy (4-go b. m.) — Dzień ten ogłoszono jako święto narodowe. Sala była przepełniona, także trybuny zajęła bardzo liczna publiczność. Wśród niej widać było dużo Garibaldyjczyków w czerwonych koszulach. Zaraz po otwarciu posiedzenia wygłosił prezydent izby Marcora mowę na cześć Garibaldiego, sławiąc pamięć jego jako bohatera narodowego, który wyswobodził Włochy. Wszyscy stojąc wysłuchują mowę prezydenta w skupieniu. Z szczególnym naciskiem podnosi mówca miłość ojczyzny i szlachetność cechującą całe życie Garibaldiego. Mowę prezydenta przerywają zebrani często oklaskami, a przy końcu jej wnoszą okrzyki na cześć Garibaldiego.

Prezes ministrów Giolitti dziękuje Marcorze za świetną mowę i prosi izbę aby jako wyraz wdzięczności dla Garibaldiego uchwaliła ustawę zapewniającą odpowiednie wsparcie dla weteranów, którzy brali udział w walkach o wolność. Przedłożenie to przyjmuje izba 250 głosami przeciw 6. Prezydent proponuje następnie zamknąć posiedzenie na cześć Garibaldiego. Propozycyę izba przyjmuje jednogłośnie i wszyscy zebrani rozchodzą się, wnosząc entuzyastyczne okrzyki na Garibaldiego.

Dzień stuletniej rocznicy Garibaldiego obchodzono w całych Włoszech niezmiernie uroczyście. W Rzymie samym odbył się olbrzymi pochód uroczystościowy z weteranami, niosącymi stare sztandary Garibaldiego na czele, w którym brało udział około 20 tysięcy ludzi. Gdy pochód przechodził obok ambasady austryackiej spostrzeżono z oburzeniem, że gmach ambasady nie był wcale przystrojony. Z tłumu podniosły się liczne okrzyki: Precz z Austryą! Niech żyje Trydent i Tryest! Weterani na czele pochodu opuścili chorągwie ku ziemi. Grupa anarchistów usiłowała napróżno sprowokować wojsko i wywołać zaburzenia. Spokoju nie zakłócono, jakkolwiek dla pewności obsadzono podwórze ambasady artyleryą. Ambasador sam bawi chwilowo po za Rzymem.

Złote myśli.

Pycha i chciwość są to dwa źródła, z których potokiem rozlewają się po świecie wszystkie zbrodnie.

Henryk Rzewuski.

* * *

Szlachetne dusze płacą za ufność wdzięcznością — podłe pogardą.

Henryk Sienkiewicz.

Nowa walka kulturna

XV.

Ks. proboszcz Alfons Kaczmarek i dr. Józef Stańczyk, obaj z Wyrzyska

stawali, jak wiadomo w maju r. b. przed izbą karną w Pile z powodu 9-letniej dziewczynki Tetzlaw z Mieszko-



Ks. proboszcz Alfons Kaczmarek z Wyżyska.

wa, ukaranej nadmiernie przez nauczyciela za opór podczas niemieckiej nauki religii. Ks. prob. Kaczmarek zajście to opublikował na podstawie świadectwa p. dr. Stańczyka. W opisie tym powiedziano, że *nauczyciel Piechota* wyrywał dziewczęciu włosy z głowy i deptał ją nogami. Niebawem po publikacyi księdza proboszcza Kaczmarka nauczyciel Piechota otrzymał mnóstwo listów z pogróżkami. Listy te odczytano w procesie.

Prokurator żądał dla księdza Kaczmarka 2 miesiące więzienia, *ale sąd skazał go na 500 mk. kary i koszta. Pana dr. Stańczyka skazano na 100 marek kary i koszta.*

Prócz powyższego procesu wytoczono p. dr. Stańczykowi jeszcze drugi proces o obrazę nauczycieli Huttnera i Branczirawskiego z Piły. Izba karna w Pile skazała p. dr. S. na 200 marek kary.

* * *

Ks. Klemens Zieliński

wikary przy kościele farnym w Wągrówcu, stawał, jak wiadomo, dnia 24 z. m. przed izbą karną sądu gnieźnieńskiego jako oskarżony o podburzanie do strejku szkolnego na mocy § 130a. *Prokurator wniósł o tydzień fortecy,* sąd uwolnił ks. Z. od winy i kary.

* * *

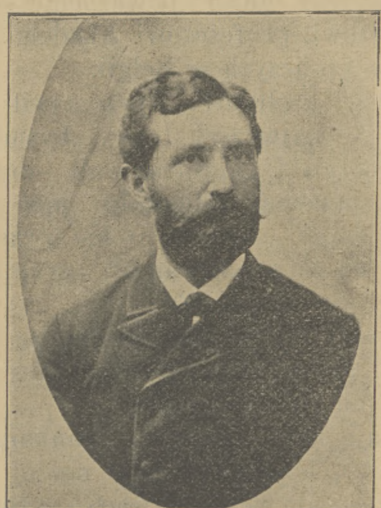
W numerze 21-ym „Pracy“ w „Przeglądzie prasy“ podaliśmy statystykę kar pieniężnych, więziennych, fortecznych i innych, wydanych przez władze pruskie tak sądowe jak też administracyjne w sprawie strejku szkolnego na księży, redaktorów, rodziców i opiekunów, dzieci itd.

Nie licząc kosztów sądowych strejk szkolny kosztował społeczeństwo polskie do końca kwietnia r. b. *olbrzymią sumę 31 150 marek kar pieniężnych i przeszło 12 lat więzienia i fortecy.*

„Pädagogische Zeitung“ podała świeżo następującą statystykę strejku szkolnego w Prusach Zachodnich:

Złożono z urzędu 280 sołtysów i ławników; wydalono z gimnazyów 80 uczniów; skazano 35 księży razem na 20 miesięcy więzienia odnośnie fortecy. Kary nałożone księżom wynoszą razem 6350 mk. Procesy toczyć się będą jeszcze przeciwko 20 księżom.

Kary pieniężne nałożone redaktorom wynoszą 19 450 mk. Do tego dochodzi 45 miesięcy więzienia. Za zmudę szkolną wydano mandaty karne w wysokości 18000 mk. przeciwko 1450 osobom. Osoby prywatne otrzymały za strejk szkolny razem 5 i pół roku



Dr. Józef Stańczyk z Wyzyska.

więzienia. Oprócz znacznych kosztów sądowych kosztował strejk szkolny w Prusach Zach. 31000 mk. kar i 12 lat więzienia.

Złote listki.

Geniusz nie jest zasługą, ale jak i majątek, przypadkiem, darem.

Karol Szajnocha.

* * *

Męski czyn iść do sławy przez ogień kartaczy,
Lecz uciec od rozkoszy większe męstwo znaczy.

Antoni Gorecki.

Do smutnych.

Ktokolwiek cierpisz w zawiei życiowej
Tęskniąc do świtu, spowity chmur nocą
Wierz niezachwianie: „zła pękną okowy
Chmury się słońcem przeniknią, wyzłocą!“
Pomyśl w ucisku mdlejąca ty duszo,
Że po doświadczeń bojowej godzinie
Pogoda, jasność nastąpić znów muszą,



Ks. Klemens Zieliński, wikary z Wągrówca.

(Patrz artykuł p. t.: „Nowa walka kulturna“).

Radość z tryumfu nad sobą nie minie!
Spójrz: światłem, życiem, pulsuje świat cały!
Słyszysz dzwon życia? głos potężny, żywy...
„Bracie! czekają cię twe ideały,
Chciej je zrozumieć, a będziesz szczęśliwy!“

Świerszcz.

Z żałobnej karty

Muzaffer-Pasza (Władysław Czajkowski.)

Zmarły w ostatnim czasie Muzaffer-Pasza, gubernator gór Libanu, był z pochodzenia Polakiem, synem Michała Czajkowskiego (Sadyka-Paszy), słynnego autora „Owruczanina,“ „Wernyhory“ i wielu innych powieści.

Sadyk-Pasza miał czworo dzieci: synów Adama i Władysława, oraz córki Karolinę, zamężną za Suchodolskim, zmarłą w 1892 roku i Michalinę Gutowską, zamieszkałą w Konstantynopolu.

Obu synów Sadyka-Paszy wychowywał ks. Adam Czartoryski. Kształcili się oni u Jezuitów w Belgii i potem ukończyli słynną akademię oficerską w Saint Cyr, następnie zaś wstąpili na służbę do korpusu kozaków otomańskich. Starszy, Adam, po wojnie francusko-pruskiej w roku 1870, po długich podróżach po Turcyi, o-

siadł w Rosyi, gdzie się dosłużył stopnia generała i obecnie mieszka w Warszawie. Władysław, pochrzestnik hr. Władysława Zamojskiego, nie opuszczał Turcyi. Z korpusu Kozaków przeszedł jako adjutant wielkiego wezyra do Ildiz-Kiosku, potem został adjutantem sułtana i towarzyszył mu w roku 1860 w podróży po Europie. Jako katolik i Europejczyk bywał delegowany do boku dostojnych gości, którzy zjeżdżali czy zawadzali o Konstantynopol.

Brał udział często w poselstwach. Udział w komisyi von der Goltza, reorganizującej armię turecką, doprowadził Władysława na stanowiska: najpierw dyrektora szkoły wojskowej w Konstantynopolu, potem inspektora kawaleryi, następnie na godność zarządzającego stadninami rządowemi. Znakomita działalność w tym względzie zawiodła Władysława Czajkowskiego na stanowisko generał-gubernatora, czyli mutesaryfa Libanu. Syryą rządził Czajkowski znakomicie. Pod jego opieką bezpieczni byli Maronici (plemię arabskie, wyznania rzymsko-katolickiego, nawrócone w czasie krucyat), biskupi, patryarchowie, zakonnicy i duchowni, mieszkający w pobliżu grobu Chrystusa. Drogi ulepszył wszędzie, podniósł handel, słowem był jednym z najlepszych gubernatorów, jacy kiedykolwiek istnieli. Cieszył się też bezgranicznem zaufaniem sułtana.



Muzaffer Pasza, (Władysław Czajkowski), gubernator gór Libanu.

Ożeniony był z Greczynką. Miał dwóch synów, z tych jeden jest inspektorem stadnin rządowych i ma przed sobą otwartą drogę do wielkich godności, drugi ożenił się z wnuczką Vanderbildta i wziął w posagu 15 milionów dolarów.

Z krajem utrzymywał częste stosunki i pozostawał w trwałej korespondencyi z kilku osobami.

Wiec królików.

W Królikowie odbył się wiec królików wszystkich ras w obszernej sali na zielonej łące, zwołany przez Komitet wykonawczy partyi, celem zajęcia stanowiska wobec wrogich dążeń niedawno powstałej organizacyi hodowców, dążeń przeznaczenia rodu króliczego na rzeź. *) Wiec miał zaprotestować przeciw tym nikczemnym zamysłom i obmyślić środki zaradcze.

Zebrani przez aklamacyę powołali na przewodniczącego znanego ze swej dystynkcyi i powagi p. Angorę, który powoławszy na sekretarza p. Srebrniaka, udzielił głosu poważnemu panu Flandrowi, profesorowi Akademii wypasów króliczych w Belgii.

Braci królicza! — przemówił referent — najwyższy czas, byśmy się zjednoczyli i zaprotestowali przeciw niesłychanemu gnieceniu nas przez silniejszych. Weźmy sobie przykład z innych zorganizowanych grup i nauczmy się solidarności.

Doszło do naszego słuchu, że rząd, kraj i gminy chcą położyć kres swobodnemu naszemu życiu.

Mają nam zakazać uganiania na wolności, kopania wedle naszej woli nor, kręcenia się po oborach i stajniach między bydłem, urządzania wycieczek do ogrodów warzywnych, łączenia się w pary wedle naszych gustów i skłonności. (Burzliwe okrzyki: hańba! hańba!) A w miejsce dawnej swobody co nam gotują? Oto przymus niewoli, klatkę więzienną, strawę wedle naprzód obmyślanych recept, wstrętną dla podniebienia takich, jak my, smakoszów. Królicza braci, ty wiesz z jak niezwykłą rezygnacyą znosimy najdotkliwsze bole żołądka, byleśmy tylko do woli użyć mogli tej karmy, która nam smakuje, wiesz, że za rozkosz dla podniebienia nawet śmierć ponieść jesteśmy gotowi — a tu się poddać mamy takiemu przymusowi strawy! A gdzie swoboda, gdzie dawna wolność nasza? Czy zamknięta w klatce angorska króliczka zapoznać się będzie mogła bliżej z młodym flandrem, którego w dziecięcym wieku poznawszy, tak serdecznie pokochała? Druciana zapora na wieki rozdzieli kochającą się parę. Gdzież dawna swoboda zawierania znajomości wedle woli? Jakże znikczemniejemy cieleśnie, gdy ustaną szlachetne zapasy i walki między nami! Wszystko to, co było rozkoszą i przyjemnością naszego życia, ma obecnie przepaść! Gdy wspomnę na straszny los, który nas ma czekać w przyszłości, łzy cisną się do oczu.

I skąd to wszystko? oto zachciało się biednym głodomorom mieszczuchom i chłopom jeść smaczne, zdrowe i tanie mięso. Nas upatrzono na ofiarę! My tego mięsa mamy w obfitości dostarczać! My mamy obok ziemniaka, kapusty i krup przynajmniej trzy razy w tygodniu zjawiać się na misie, z której pracownik na roli, czy przy warsztacie ma czerpać siły do roboty.

Już się zorganizowała banda królikożercza!

Po jej stronie stanęli uczeni ludzie, o których nigdy nie myśleliśmy, że wrogo przeciw nam wystąpią. Ci uczeni ludzie — to lekarze. Niewdzięczne plemię! Ileż to młodzieży z naszego grona poświęcaliśmy do ich doświadczeń, by sobie ich życzliwość okupić. Tysiące chorób próbowali na naszych organizmach, rozszerzali przez to swą wiedzę, a teraz, jak się nam odpłacają? Oto głoszą na okół, że mięso nasze nadzwyczaj strawne i pożywne, że grzech ludność biedna i bogata popełnia, nie spożywając króliczego mięsa.

Za ich szatańskim podszeptem poczęły zaraz baby, wprawne w kucharstwie, obmyślać i podawać przepisy, jak robić z nas wyborne rosoły, smaczne pieczenie, przeróżne sznycle, kotlety, paprykasze i różne inne frykasy, na których wspomnienie krew mi się w żyłach ścina.

Bracia, przedstawiłem wam, co nas czeka. Nie występuję z rezolucyami, chcę wpierw wysłuchać waszych głosów. Pewny jestem, że niebawem na podstawie dyskusyi dojdziemy do powzięcia jednomyślnych uchwał.

Zaledwie ustały huczne brawa, setki królików różnych ras i różnego wieku zgłosiły się do głosu. Tylko dzięki parlamentarnej rutynie p. Angory udało się utrzymać ład i porządek w zgromadzeniu.

Nastąpił nieustanny szereg biadań na złość ludzką, a przedewszystkiem na zgubne pomysły hodowców. Wielkie wrażenie wywarła stara królica, opowiadając swe przejścia. Przebyła ona coś 2 lata w klatce. Opowiadała,

*) W ślad za innemi krajami rozpoczęto także w Galicyi hodowlę królików na rzeź, co spowodowało autora do napisania powyższego humorystycznego artykułu. — Przyp. Red.

jak to rzadko pozwolono jej widywać się z najdroższym, jak to jej dziatwę liczono i zapisywano do książek, z jakiem okrucieństwem oddzielano wśród jej potomstwa siostry od braci i jak więziono z osobna. Na szczęście tyran, który ją więził, poszedł do wojska, a wtedy ojciec jego, nie rozumiejący gospodarki syna, puścił wszystko na dawną swobodę.

Dostał się do głosu p. Krajowiec, utrzymujący z licznymi swymi krewniakami od Husiatyna po Białą ciągłą korespondencyę. Mógł on opowiedzieć szczegóły o akcyi Towarzystwa chowu drobiu i królików we Lwowie i Jarosławiu i o nowym ciemięzcy królików Towarzystwie Kółek rolniczych. Zasłyszał on coś niecoś, że się w ostatnim czasie wśród ciężkich wrogów króliczych starli ze sobą pp. Kukura i Fibich, obawia się jednak, że ich polemika gazeciarska na skórze królików się skrupi.

Dobrze, że poprzedni mówca o skórze wspomniał — zaczął, dorwawszy się do głosu p. Baran. — Przebrzydły ród ludzki nie zadawala się naszem mięsem, z równą chciwością czyha na naszą skórę. Już pouczyli się, jaką wysoką wartość ma ta piękna okrywa naszego ciała, jaka to wyborna ochrona przeciw zimnu. Mają przepisy, jak zdzierać z nas skórę, jak ją wyprawiać, a niedługo tysiącami ginąć będziemy, aby lada chłop, lada baba mieli z nas futerka, czapki i rękawice. Niedługo, a każdego dzieciaka będą wysyłali w zimie do szkoły w ubraniu, podszytem naszemi skórkami.

Potwierdził jego słowa p. Normand, pochodzący z Francyi. Wywieziony przemocą z swej ojczyzny — rzekł on — odetchnąłem tu nieco wśród waszej dotychczasowej polskiej swobody. Widzę jednak oznaki, że czeka tutaj króliki ten sam los, który od kilkudziesięciu lat znoszą z boleścią moi rodacy. Niebawem, a każdy wieśniak, każdy robotnik weźmie w swą niewolę parę lub dwie królików i jak we Francyi, tak i tu padać będą corocznie miliony naszego rodu pod nożem ludzi, chciwych naszego mięsa i naszych skórek. I to ośmielają się nazywać cywilizacyą i postępem! Hańba im, stokroć hańba!

Gdy w ten sposób kilka jeszcze godzin toczyły się obrady, a nikt środków zaradczych nie przedstawił, zabrał ponownie głos referent prof. Flander.

Oburzenie — rzekł on — nie pozwoliło szanownym mówcom przedstawić wniosków co do postępowania wobec grożącego nam niebezpieczeństwa. Pozwolę zatem sobie przedłożyć szanownemu zgromadzeniu rezolucye, które wedle mego przekonania przyczynić się mogą do zachowania nam tu na tej ziemi dawnej swobody.

Oto me wnioski:

1) Zgromadzeni na wiecu przedstawiciele królików uchwalają celem utrzymania ludności tutejszego kraju w zastarzałym błędzie, że królikami zajmować się nie warto, wydać broszurę, którąby wykazała, że mięso nasze nie nadaje się do spożywania dla tych, którzy przedtem objedli się wieprzowiną, cielęciną, wołowiną lub drobiem, dla innych zaś jest nieodpowiednie dla tego, że ich żołądek do mięsa nie przywykł.

2) Zgromadzeni na wiecu przedstawiciele królików uznając wpływ prasy uchwalają składać co tygodnia na fundusz gadzinowy jedną dwudziestą swego zarobku, aby funduszem tym przekupić najwpływowsze pisma, by o racyonalnej hodowli królików nigdy nie wspominały i ludności przeciw nam nie buntowały.

3) Zgromadzeni na wiecu przedstawiciele królików nakładają na siebie dalszy podatek w wysokości 20-tej części tygodniowego dochodu, aby wypłacać z zebranej w ten sposób kwoty nagrody tym wszystkim, którzy czy to na zebraniach, czy w prywatnych rozmowach będą przemawiali przeciw wskazówkom i radom udzielanym przez hodowców a z nauki i obliczeń ich będą skutecznie drwili.

4) Zgromadzeni na wiecu przedstawiciele królików uchwalają zwrócić się do psów, kotów, bydła z prośbą o wydanie księgi z datami, ile rocznie królików przez nie zginąć musi i jak mało wskutek tego dla hodowcy zostaje. (Datami temi dadzą się wprowadzić w błąd wszyscy ci, co się nie zastanowią, że ginie nas tyle właśnie przy swobodnem naszem życiu).

5) Zgromadzeni na wiecu przedstawiciele królików szerzyć będą wszelkimi dostępnymi dla siebie sposobami między ludźmi to przekonanie, że należy hartować ciało przeciw zimnu a nie chronić je przed przeziębieniem futrami ze skór króliczych.

6) Zgromadzeni na wiecu przedstawiciele królików uznają za konieczne zmienić tryb swego życia i tarzać się odtąd w błocie i nieczystościach, aby hodowcy nie mogli twierdzić, że mięso nasze spożywać należy, ponieważ jesteśmy bardzo czystemi zwierzątkami.

7) Zgromadzone na wiecu małżeńskie pary królików zobowiązują się odtąd nie mieć więcej potomstwa jak tylko jedną, jedyną parę w ciągu roku.

Ze skupieniem wysłuchano mądrych rezolucyi p. Flandra. Gdy przewodniczący zarządził nad niemi głosowanie, pierwsze przyjmowano jednogłośnie, gdy miano głosować nad 6-tą, wiecownicy zaczęli się rozbiegać a przy 7-mej były zupełne pustki na sali.

Srebrniak,
sekretarz wiecu.
„P. K. R.“

Morderstwo w świecie dyplomatycznym.

Niepodobna pominąć milczeniem sensacyjnego procesu dyplomatycznego, ze względu na sfery, w jakich się zbrodnia rozegrała, procesu Waddingtona w Brukseli.

Sprawa, która jest przedmiotem procesu Waddingtona, rozegrała się przeszło przed rokiem i wszędzie wywarła niesłychane wrażenie, gdzie tylko telegramy lub korespondencye przyniosły wiadomość, że syn chilijskiego posła w Brukseli, 18-letni Carlos Waddington, zabił kilku strzałami z rewolweru sekretarza tego poselstwa, 22-letniego Balmacedę, dlatego, że nie chciał się żenić z jego siostrą. Ażeby zaś morderstwu nie brakło żadnego z efektów sensacyjnego romansu, morderstwo odbyło się w chwili, gdy schodzili się już do Waddingtonów goście zaproszeni na zaręczyny i zamiast przyszłego pana młodego, zastali... wiadomość o jego zgonie. Opinia publiczna stanęła wtedy przeciw zamordowanemu a po stronie mordercy, podnosząc zwłaszcza jego odwagę i poczucie godności, kiedy zdecydował się przekroczyć progi poselstwa, gdzie był nietykalny i sam się oddał w ręce sądów belgijskich.

Tymczasem po bliższem przyjrzeniu się, bohaterstwo to nieco zbladło: pokazało się mianowicie, że korzystanie z nietykalności poselstwa i tem samem w konsekwencyi oddanie się sądom chilijskim, byłoby zgubą dla Waddingtona, gdyż rodzina Balmacedów jest wszechmożna w Chili...

Tak samo toczące się rozprawa, obfitująca w dramatyczne a także drastyczne epizody, pozwoliła obejrzeć niejeden ze szczegółów dramatu ze stanowiska Balmacedy i na jego korzyść...

Postaramy się przedstawić chronologicznie „historyę tej historyi.“

A więc młody Chilijczyk Balmacedo, zamianowany do służby dyplomatycznej w jednem z najpiękniejszych miast Europy, został po przybyciu do Brukseli oplątany bardzo „swojskim“

czarem. W domu swego przełożonego, Waddingtona, zastał pannę, starszą od siebie wprawdzie, ale śliczną, a tak ognistą, że późniejsze jej listy miłosne do niego, odczytywane na rozprawie, aż przerażają swą gwałtownością.

Nawiązała się miłość, która bardzo rychło przestała być platoniczną. Zdarzyło się nawet, że Balmaceda, powracając wraz z rodziną narzeczonej do domu, wśliznął się pokryjomu do jej mieszkania i przepędził 36 godzin w jej pokoju, gdzie go we dnie panna Adelaida Waddington, zwana pieszczotliwie Yaya, ukrywała w szafie. Usłużna pokojówka przynosiła do pokoju szynkę i wino Porto, kładła na stole i potem

— Dokąd idziesz? — zapytał z podejrzliwością.

— Idę odnieść list na pocztę — odparła bez zająknienia wtajemniczona pokojówka.

— Co to za list i od kogo?

— Ja go napisałam do kogoś.

— Pokaż mi go — i wyciągnął rękę.

W tej jednak krytycznej chwili Yaya, która usłyszała hałas na schodach, zadzwoniła i pokojówka ze słowami: „Panienka na mnie dzwoni — muszę iść,“ wymknęła się Waddingtonowi, który tylko krzyknął za nią: „Nie wyjdziesz wpierw, nim ten list przeczytam!“ Stary wziął naprawdę

Balmaceda. „Jestem kobietą z ognia“ — charakteryzowała siebie Yaya.

Raz n. p. w ogrodzie, kiedy narzeczeni zabawiali się w towarzystwie brata Yayo i przyjaciela Balmacedy, także Chilijczyka, 22-letniego pianisty Rensifo, Balmaceda dobył, w ciągu sprzeczki nabitego rewolweru i przyłożył lufę do skroni narzeczonej, która bez drgnienia jednego muszkułu powiedziała: „Jesteś zanadto tchórzem, abyś mnie potrafił zabić-“ Balmaceda na to schował rewolwer i całe towarzystwo bezpośrednio zasiadło do herbaty, śpiewało i grało w jak najlepszym humorze.

Nagle w tej miłości coś się popsu-



Co się stało?

nie dziwiła się, że zabierała puste talerze i puste butelki, choć „nikogo nie było w pokoju.“

Nawiązanie się takiego stosunku ułatwiało zachowanie się ojca, człowieka w życiu i postawie pełnego godności dyplomatycznej i namaszczenia, namiętnego amatora myzyki, którego w chwili, gdy mu chciano zwrócić uwagę na ważne szczegóły, odnoszące się do jego córki, nie zastawano w domu, bo wyszedł na jakieś prywatne zebranie ze swoją wiolonczelą.

Zresztą, gdyby nawet miał ochotę być bardziej bacznym, przezorność jego natrafiłaby była na potężną przeszkodę: spryt panny Yayi. Raz n. p. ojcowska podejrzliwość została obudzona; było to w chwili, gdy powracając do domu, spotkał na schodach pokojówkę córki zbiegającą z listem do Balmacedy.

na kiel i kazał pozamykać wszystkie drzwi wchodowe i list dostał: list zupełnie obojętny, pisany ręką pokojówki do jakiegoś jej adoratora. Nie wiedział tylko, że zaledwo drzwi pokoju córki oddzieliły go od pokojówki, panna Yaya zawołała na służącą:

— Prędko, prędko! siadaj tutaj i pisz. Masz arkuszyk papieru i kopertę — a równocześnie list oryginalny spłonął na kominku...

Równocześnie brat Yayi Carlos Waddington, obecny oskarżony, zaprzyjaźnił się z Balmacedą i służył niemal za pośrednika pomiędzy nim a siostrą...

Pod takiemi osobliwemi auspicyami rozwinęła się niemniej osobliwa miłość, pełna wybuchów, burz, namiętnych szałów i... sporej dozy komedyanctwa. „Kiedy kocham, odzywa się we mnie dziki Indyanin,“ mówił o sobie

ło: Balmaceda objawiał niedwuznacznie chęci zerwania i odjechania do Chili, wreszcie w dniu niedoszłych zaręczyn miał z matką Yayi gwałtowną rozmowę, po której Carlos Waddington zastał matkę we łzach. Zapytana, co to ma znaczyć, odparła, że Balmaceda znieważył ją i jej córkę i oświadczył, że nigdy się z Yayą nie ożeni. Carlos na to zabrał ze sobą dwa rewolwery i.... czek na 2500 franków, jaki właśnie dla Balmacedy nadszedł od jego ojca i udał się do mieszkania przyjaciela. Co ze sobą mówili, niewiadomo — Carlos powiada, że zapytał tylko Balmacedę, czy się ożeni z jego siostrą i otrzymał kilkakrotną odmowną odpowiedź — dość, że w chwili, kiedy Balmaceda siedział przy stole, zajęty podpisywaniem czeku, Carlos strzelił do niego dwukrotnie, trafiając go w oko i w szyję. Balma-

ceda zerwał się, zachwiał i padł twarzą na pobliską sofę, a wtedy Carlos dobył drugiego rewolweru, większego kalibru i wymierzył w plecy jeszcze trzy czy cztery śmiertelne strzały. A sam w dorożce pędzącej cwałem powrócił do poselstwa chilijskiego...

Ażeby zaś tragedyi nie brakło nic z zapachu egzotyczności, Yaya, dowiedziawszy się o śmierci swego eks-narzeczonego, posłała służącego, aby na piersi zamordowanego złożył różaniec, na którym się ona do owej chwili codziennie modliła...

Prawdziwego powodu zerwania Balmacedy i całej tragedyi, dowiedzieć się trudno. Są co do tego aż trzy wersye. Jeden z Chilijczyków, przesłuchany jako świadek, był zdania, że prawdopodobnie romans i zerwanie była to zemsta polityczna, gdyż Waddington onego czasu udaremnił zamach stanu ojca Balmacedy. Wedle zaś zdania rodziny Waddingtonów, jedyną przyczyną był charakter Balmacedy, zaś z listów, pozostałych po zmarłym wynikałoby, że Balmaceda zgodził się na małżeństwo, aby naprawić błąd swój, kiedy jednakże wypadek usunął bezwzględną konieczność ekspiacyi z jego strony, nie chciał w poświęceniu honoru swego i swego ojca iść aż do naprawienia błędu, popełnionego dawniej i przez kogo innego. Rodzina Waddingtonów zgodziła się na to, ułożono, że dla świata zerwanie wyjdzie od panny, a Balmaceda stosownie do układu, wydał jej zarówno listy, jak pisemne dowody, dawniejszego jej błędu. Yaya papiery te spaliła, a wtedy matka oświadczyła Balmacedzie, że bez małżeństwa z córką nie wyjedzie z Belgii Balmaceda odpowiedział ostro i bezwzględnie, zakończenie wiadome.

Przeciw temu jednak, bardzo prawdopodobnie zbudowanemu przypuszczeniu, stoi zeznanie jednego z przyjaciół zamordowanego, który oświadczył, że Balmaceda nietylko nie mówił mu o jakimś dawniejszym błędzie Yayi, ale owszem stwierdził, że przeszłość jej była bez skazy.

Proces więc obecny toczył się prawnie przeciw Carlosowi Waddingtonowi, ale faktycznie przepływa mimo niego. Sympatye publiczności są po jego stronie i słusznie: bo jest on tylko ofiarą namiętnej natury swej siostry, chwiejności charakteru Balmacedy, tragikomicznej naiwności swego ojca i zbytniej energii w prowadzeniu intrygi ze strony swej matki, która zanadto „za wszelką cenę“ chciała doprowadzić do małżeństwa,, z miłości dla córki zrobiła syna mordercą, a córkę zabiła moralnie, bo spowodowała ogłoszenie szczegółów, któreby w razie zerwania pozostały w tajemnicy. Sieci intrygi namotali inni, a gorącemu, nieopatrznemu chłopakowi 18 letniemu włożyli w rękę rewolwer, którego kule przecięły gwałtownie intrygę.

Podczas rozpraw sądowych przyszło do kilku bardzo wstrząsających scen, szczególnie podczas przesłuchiwania rodziców oskarżonego Carlosa Waddingtona a następnie kiedy zastępca strony prywatnej poszkodowanej, t. j. ojca Balmacedy adwokat Bonnevie zaczął odczytywać listy Yayi, pisywane do zamordowanego. W czasie tej namiętnej lektury oskarżony zemdlał, a wskutek tego publiczność zrobiła adwokatowi Balmacedów taką awanturę, że posiedzenie musiano przerwać i salę opróżnić.

Wyrok zapadł dnia 5-go b. m. Sąd przysięgłych uwolnił Carlosa Waddingtona od winy i kary.

Sprawy ekonomiczne.

Odezwa do wszystkich rzemieślników i robotników polskich.

Kochani Rodacy!

W obecnym czasie organizują się wszystkie stany, w celu poprawienia swego bytu i bronienia swego zawodu przed konkurencyą.

Organizują się wielcy kapitaliści, choć już mają do dyspozycyi miliony na swe utrzymanie. Organizują się wielcy właściciele ziemscy, przedsiębiorcy fabryk i kopalń w rozmaite syndykaty i trusty. Mniejsi gospodarze mają Kółka rolnicze, adwokaci mają swe izby adwokackie, lekarze mają swe izby lekarskie, kupcy swe izby kupieckie, rzemieślnicy izby rzemieślnicze, i t. d. Wszystkie te stany starają się w swych towarzystwach swego bytu bronić.

Każdy zawód stara się, aby mógł mieć jak największe zyski. Powyżej wymienione stany są po większej części samodzielne, to też jest im lżej swego stanowiska i interesu bronić.

Najbiedniejszą, ale najliczniejszą warstwą w każdem społeczeństwie jest stan robotników i pomocników rzemieślniczych. Choć jednak temu stanowi najwięcej pomocy potrzeba, mimo to bardzo mało się on stara o to, by sobie swój byt polepszyć, by się uświadomić i oświecić, aby się nie pozwolił przedsiębiorcom wyzyskiwać.

W innych krajach wzięli się robotnicy do pracy w celu ulepszenia i poprawienia swego bytu i wiele też na tem polu robotnicy zdziałali organizując się w związkach zawodowych.

W Niemczech mamy także rozmaite związki już nieomal od 40 lat.

Mamy związki centralne, czyli socyalistyczne, mamy drugie związki, założone przez żydów, tak zwane wolnomyślne (Hirschdunkera); mamy związki tak zwane chrześciańskie, założone przez partyę centrową.

Oprócz tego mamy związki lokalne kierunku anarchistycznego, i berlińskie fachabteilungi, czyli oddziały zawodowe.

Wszystkie te związki zostały pozakładane przez partye polityczne i też do dziś dnia przez owe partye do celów politycznych owych partyi bywają używane.

W tych związkach mamy jeszcze wielką liczbę naszych braci Polaków, którzy się dali zbałamucić i do dziś dnia tam są członkami i choć powoli, ale stale się wynaradawiają i germanizują.

My robotnicy polscy należymy przecież nie do Niemców, tylko do narodu polskiego i jesteśmy tem samem częścią społeczeństwa polskiego jak inne warstwy narodu naszego.

Jesteśmy najbiedniejszą gałęzią drzewa narodu polskiego. Wiedzieliśmy o tem doskonale, że pod butnym Prusakiem nie mogliśmy się na nikogo oglądać, żeby nam dopomógł w naszej ciężkiej doli, bo w społeczeństwie polskiem każdy stan ma wiele do czynienia ze sobą samym, gdyż bronić się musi przeciw zakusom wroga naszego wspólnego. Wobec tego pomocy od nikogo robotnicy polscy nie mogli się spodziewać.

Aby sobie wywalczyć równouprawnienie nie tylko w społeczeństwie polskiem, lecz i przy pracy w stosunkach z robotnikiem niemieckim, założyliśmy sobie naszą własną polską organizacyę pod nazwą „Zjednoczenie zawodowe polskie“.

Że taka organizacya była potrzebna, pokazuje to, że po 4-letniej pracy zorganizowało się przeszło 40 000 polskich rzemieślników i robotników, którzy już mają przeszło 160 000 marek czystego kapitału. W czasie swego istnienia wypłaciło „Zjednoczenie zawodowe polskie“ swym członkom przeszło 200,000 marek rozmaitych wsparć w czasie choroby, w razie bezrobocia, jako pośmiertne i t. d.

Kochani bracia, otóż my, zorganizowani w „Zjednoczeniu zawodowem polskiem“ robotnicy i rzemieślnicy, przyszliśmy do znaczenia wielkiego,

bo dziś się z nami liczyć inni muszą. Cóż za znaczenie masz, rodaku, który chodzisz samopas, który nie dbasz o polepszenie swego bytu, który nam nie chcesz pomódz do stworzenia wielkiego dzieła, choć cię o to już od kilku lat prosimy.

Ocknij się z letargu a przekonasz się, jakie nawalnice nad tobą wiszą, które cię zniszczą, czy to prędzej, czy później, jeżeli się nie będziesz poczuwał do tego, by się z nami połączyć w polskiej organizacyi, w „Zjednoczeniu zawodowem polskiem'', abyśmy wspólnie mogli naszych interesów bronić.

w „Zjednoczeniu zawodowem polskiem''.

Kochani Rodacy! Sami się przekonaliście już nieraz, jak niemieckie ferbandy i ich przywódcy są wrogo dla nas robotników polskich usposobieni. Ferbandy niemieckie wszelkich odcieni są porówno z rządem pruskim germanizatorami i ułatwiają mu jego robotę germanizatorską.

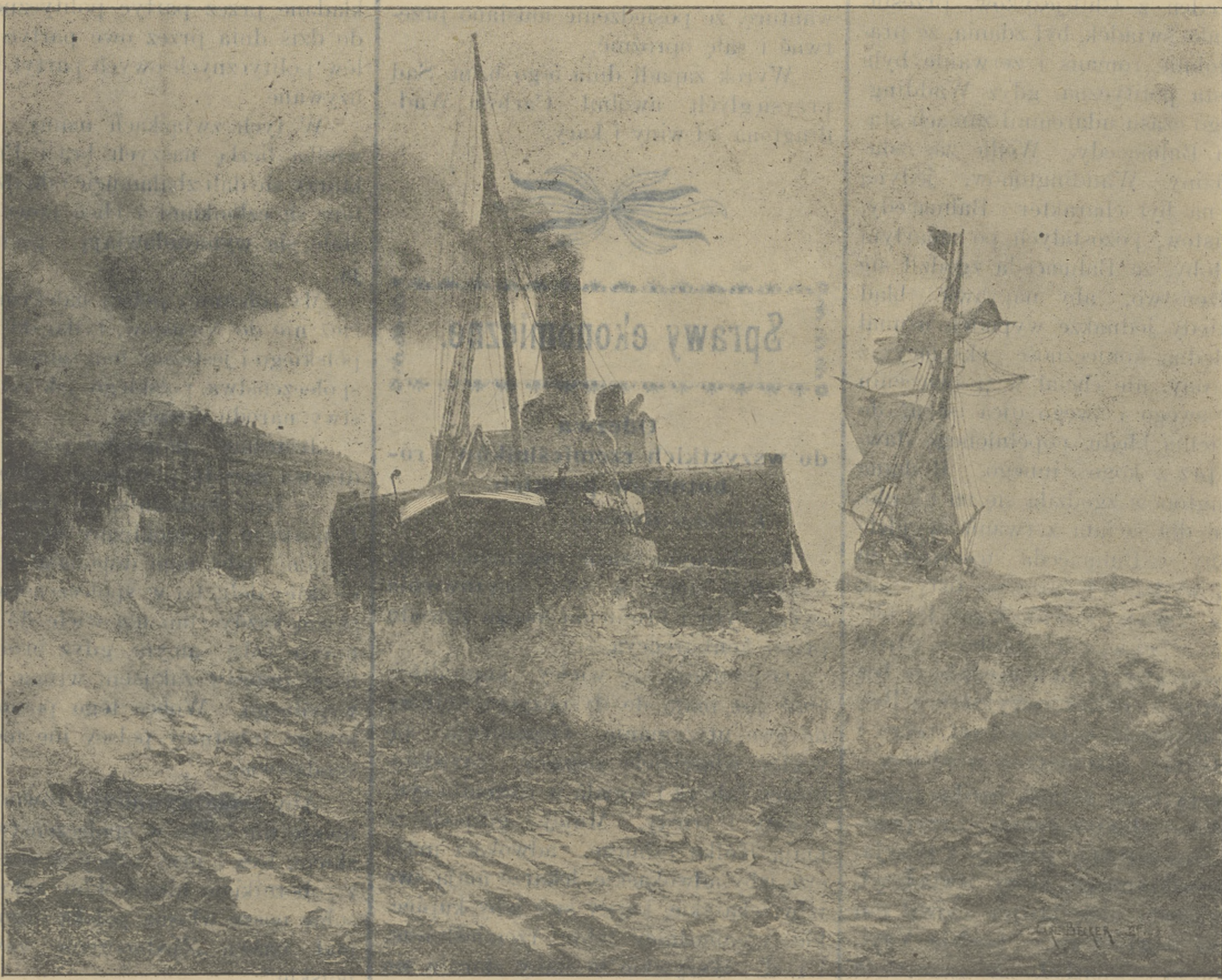
Rodacy, którzy jesteście w owych ferbandach hakatystycznych a macie choćby jeszcze cośkolwiek poczucia narodowego, jeżeli się zaliczacie do synów naszych sławnych przodków, którzy to niegdyś byli przedmurzem całego chrześciańtwa i bronili naszej Matki Ojczyzny od jej rozlicznych wrogów, jeżeli się nazywać chcecie Polakami i należeć do polskiego społeczeństwa, jeżeli nie chcecie zwać się wyrzutkami narodu polskiego, widząc, jak wróg nas wszystkich wspólnie siecze i marnuje, wtedy łączcie się tam, gdzie się znajdują wasi bracia.

Kochani Bracia! Dziś do nas nasza Matka Ojczyzna woła do wspólnej pracy. Rodaku, porzuć owe żydowsko-socyalistyczne centrowe „ferbandy'' a przyłącz się do naszej polskiej organizacyi, którą jest „Zjednoczenie zawodowe polskie'' z siedzibą w Bochum.

Nie czekaj dłużej, tylko złącz się z nami pod jednym sztandarem i dopomóż nam stworzyć wielkie dzieło.

Przeszło 3,600,000 Polaków znajduje się w Niemczech. Olbrzymi procent stanowią robotnicy i rzemieślnicy polscy. Patrz bracie rzemieślniku i robotniku polski, jaką siłę byśmy mieli, jak liczne miliony moglibyśmy składać, gdyby tak z 300 000 należało do „Zjednoczenia zawodowego polskiego'', a tyle w przemyśle pracuje.

Wzywamy was rodacy jeszcze raz, nie zwlekajcie dłużej, tylko wstąpcie do organizacyi polskiej.



Wjazd do portu podczas burzy.

I do was się odzywamy, Rodacy, którzy się jeszcze znajdujecie w niemieckich związkach czyli ferbandach. Kochani bracia, dawniej, gdy jeszcze nie było polskiej organizacyi, można było pobyt w niemieckich ferbandach usprawiedliwić, ale dziś, gdzie mamy własną organizacyę polską, która conajmniej w ten sam sposób sprawy robotniczej broni, a nawet jeszcze lepiej, szczególnie sprawy robotników polskich, nie może być pomiędzy wami dwóch zdań i każdy powiedzieć sobie musi: miejsce dla Polaka jest tylko

„Zjednoczeniem zawodowe polskie''
w Bochum.
ulica Blüchera nr. 1.

Myśl.

Gnuśny, utratny, łakomy, zwadliwy — nie dobry przyjaciel.
Jan Kochanowski.

Najniestrawniejsze.

Raz rozmawiano — kto rozmawiał, mniejsza —
Która potrawa jest najniestrawniejsza.
Jeden wymienił jakąś rybę z morza.
Ów marynatę na zimno z węgorza,
Temu na pamięć przyszedł schab z kapustą,
Tam ten przypomniał kaczkę nazbyt tłustą....
Wtem, mocny długą w gastronomii wprawą,
Wstanie mąż pewny i rzeknie: — Potrawą
Najniestrawniejszą, której ani upiec,
Ani usmarzyć nie można, jest — głupiec.

Wiktor Gomulicki.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 14-go lipca 1330 wycięcie Raciąża przez Krzyżaków. — 1508 pobicie Moskwy pod Orszą. — 1831 bitwa pod Mińskiem.

Dnia 15-go lipca 1410 zupełne zniesienie Krzyżaków pod Grunwaldem. — 1809 Polacy zajmują Kraków.

Dnia 16-go lipca 1461 rozruchy w Krakowie i zabójstwo Andrzeja Tęczyńskiego. — 1625 Szwedzi zajmują i rabują Gdańsk. — 1632 konfederacya warszawska. — 1648 sejm konwokacyjny. — 1649 bitwa pod Zbarażem. — 1793 poseł moskiewski grozi egzekucyą. — 1831 bitwa pod jeziorem Małuchy.

Dnia 17-go lipca 1490 Władysław Jagiellończyk koronowany królem węgierskim. — 1501 śmierć Jana Olbrachta w Toruniu. — 1648 rozprawa z Kozakami pod Machnówką. — 1656 Szwedzi ponownie zajmują Warszawę. 1659 zniesienie Moskwy pod Konotopem. — 1792 pamiętne pod Dubienką zwycięstwo.

Dnia 18-go lipca 1410 bitwa z Krzyżakami pod Świeciem. — 1515 Zygmunt I w Wiedniu na zjeździe monarchów. — 1657 traktat z Danią przeciw Szwecyi. — 1850 wybuch okropnego pożaru w Krakowie.

Dnia 19-go lipca 1410 zdobycie zamku Morangen. — 1509 hołd Alberta, księcia pruskiego. — 1702 bitwy ze Szwedami pod Kliszowem i Pińczowem. — 1794 napad Moskwy na Wilno.

Dnia 20 lipca 1570 Gdańskowi nadane przywileje. — 1598 Zygmunt III wyrusza z Gdańska do Szwecyi. 1794 odparcie Moskwy z pod Wilna.

Humor i satyra.

Zatarg rosyjsko-japoński w tinglu.

Dzienniki rosyjskie dowiedziały się, że występujące gościnnie w ogródkowych tinglach petersburskich japońskie gejsze wyśpiewują na Rosyan w swoim języku nieprzystojne śpiewki. Ktoś z uczonych znawców japończyzny przetłomaczył piosnkę, w której była mowa:

Bijcie, bijcie, bijcie
Nie żałujcie ruskich wilków,
Nie żałujcie podłych czaszek,
Wystrzelajcie, wystrzelajcie!

Czasopismo „Rus. Znamia" („Sztandar Ros.") odwołuje się do lojalności ambasady rosyjskiej. Coby było — zapytuje — gdyby żołnierze rosyjscy odpowiedzieli swoją piosenką:

Nie chwal ty się, żółtolicy
Swoją siłą dyablą!
Bo żeś taki mocny ptaszek
Pomógł ci w tem żyd!
Cożeś ty za rycerz taki,
Coś się skumał z żydem?
Ty nie rycerz, a pies jesteś
I małpi masz łeb!

Byłoby lepiej dla Rosyi — zdaje nam się — żeby żołnierze rosyjscy na polu bitew waleczność okazali. Nawet piosnki tchórzom się nie udają. Skąd oni tego żyda wzięli?

* * *

W poczekalni lekarza.

Pacyent, znudzony długiem czekaniem, do lokaja:

— Powiedz swemu panu, że jeżeli mię nie przyjmie za pięć minut, — to wyzdrowieję!

* * *

Nauka nie idzie w las.

Matka. Józio stłukł szybę, ale ponieważ sam się przyznał, dałam mu za to jabłko.

Ojciec. Sądzę, że będzie to dla niego nauką.

Matka. Rzeczywiście, bo jak tylko zjadł jabłko, stłukł drugą szybę.

* *

Z dwojga złego.

— Karolu, — mówi żona — idę do dentysty, a ty przez ten czas pobaw się trochę z dziećmi.

— O! to już i ja wolę pójść i kazać sobie ząb wyrwać, — odpowiada małżonek.

Szarada.

Ułożył Czytelnik „Pracy" X. Y. z Ropczyc w Galicyi.

Pierwsza druga wszystkich szpeci,
Pierwsza piąta postrach nieci,
Czwarta trzecia zmieniona i *piąta* razem
Są darów i strat wyrazem.
Całość odgadnie każdy znakomicie,
Bo to jarzyna — smakuje wyśmienicie

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 20-go b. m. włącznie.

Rozwiązanie logogryfu z nr. 26-go:

Helikon
Owieczki
Rzymianie
Syrop
Zgrzebło
Teleskop
Ypsenor
Ńatolia
Sieraków
Kreon
Idzi

Korsztyński Niepoprawni.

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania:* pp. Marya Kucharzewska i Zdzisław Bądkowski; *z prowincyi:* pp. Ewa Ruge z Krotoszyna, Halina Grątkowska z Kościana, Józefa Kolańczyk z Kowalewa, Bohdan Ruge z Kruszewa, Zofia Jaworska z W. Sławska, *z Górnego Śląska:* pp. F. Oleszko z Kunar, B. Nierabisz z Wieszowy, A. Cwołek z Lipin; *z Galicyi:* pp. H. Wodecki z Ropczyc, G. Kierska z Truskawca i Ziębórak z Białej.

Nagrodę otrzymali: pp. Halina Grątkowska z Kościana, Zofia Jaworska z W. Sławska i G. Kierska z Truskawca.

Nadesłano.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

33) # GADY.

POWIEŚĆ Z XIV WIEKU.

(Ciąg dalszy).

Każdy zrozumiał potrzebę spoczynku; znużenie malowało się na twarzach rycerzy, zgrzane konie piersiami robiły, były spragnione i rżały do niedaleko płynącego potoku.

Jaśko się rzucił na ziemię. Mimo podniecenia nerwów, zmęczenie czuł okrutne, a teraz śmiertelny strach jakiś pozbawiał go resztek sił. Pocierał czoło, oczyma przerażonemi patrzał w twarz Trottenberga, który do spragnionych ust przyłożył manierkę z winem niemieckiem i pił.

Ksiądz Johan zamlamlił...

Ale wina był zapas. Starczyło dla wszystkich. Jaśko nie spuszczał wzroku z Korneliusza. Trottenberg zrozumiał pytanie to nieme.

— Dziwisz się tym śladom zmienionym — ja się nie dziwię. Ziemia to polska jeszcze, ale znać w niej już nasz wpływ. Porwanie, ucieczka dawno już były uplanowane przez Salzbacha. Wiedział, że gonić będą, że mu nie starczy koń jeden. Ciężka będzie z nim sprawa, przyjaciół ma tu, świeżych nóg końskich mu nie zabraknie. Dopadniem go dopiero u wrót Pomorza, gdzieby się łatwo mógł ukryć, gdyby nie ja!... Z pod ziemi go wydobędę, z trumnicy wywlokę, ale sprawiedliwości zadość się stanie.

Jaśko jął dziękować — ale Trottenberg rękę usunął i rzekł:

— O, nie myśl, panie Święco, że dla twojej miłości to czynię. Ni ty, ni miecznikówna nie obchodzą mnie wcale. Postępek Salzbacha znieważa Zakon i dla tego wyrok na winowajcę napisałem już w myśli swojej. A ty, twój król, twoja kochanka!....

Ramionami wzruszył.....

Nigdy tak ohydną nie wydała się Jaśkowi twarz tego krzyżaka, jak teraz. Chciał odpowiedzieć coś, lecz ten, rzekł krótko:

— Nie przeszkadzaj — mówię pacierze.

I grona różańcowe przesuwać zaczął.

Spoczynek trwał długo, bo konie i ludzie nadmiernie byli zmęczeni. Jaśko zapoznawać się zaczął z rycerstwem. Oto Waldemar Beznosy, który podczas jarmarku w Gdańsku, w dzień św. Dominika, gdy lud się zebrał bezbronny na targ i nabożeństwo, wpadł z siepaczami swoimi i dziesięć tysięcy ludu wymordował,, o czem teraz zebranym rycerzom przypominał; oto Herman elbląski, okrutnik i zbir w sukni zakonnej, o którym bratobójcza błąkała się wieść; noszący klątwę ludów podbitych sobie, prawił o łaźni krwawej, a mówił z rozkoszą; oto Zygfryd, bezecnej pamięci komtur gniewski, który w czasie zaboru Pomorza, wyjeżdżał w pole ze stryczkami u łęku, i przechodzących kmieci nie kmieci na powróz chwytał. Wyprawy one „zygfrydowemi łowami'' zwano; brać zakonna bawiła się męką posiniałych, a nie było dnia, by u stryja nie wiła się Zygfrydowa ofiara, bo po próżnicy wracać nie lubił i gdy roboczy lud po lasach a kniejach się czaił, dość wtedy było kulasa a ślepca żebraka ułowić, co okrutną radość a śmiech pomiędzy krzyżaki wywoływało.

Jaśko słuchał przechwałek onych bezecnych; zamierała mu krew w żyłach na myśl, że ojciec kasztelan i dziad wojewoda rakarzom takim dłonie swe podawali. I myśl jego ku dworowi pana miecznika biegła, i osuwała się do króla Łokietka kolan. Zda się, że czuł na głowie swojej dotknięcie ręki pańskiej, z której płynęły balsamy na jego serce krwawiące. Dotknięcie to króla, to jego: amen! wypowiedziane, w chwili, gdy spowiedź swoją przed panem miecznikiem skończył, rozwiązywało go z przysięgi, z onej pomsty, której znaczenie ohydne dziś zrozumiał. A Trottenberg słuchał tych opowieści zbójeckich Zygfrydów i nie Zygfrydów, w palcach przesuwał kościane perły różańca i szeptał głosem:

Ave Maria, gratias plena!...

H. K. T.

Dni upływały za dniami, a głuche jeno i niepewne wieści dochodziły do dworu pana miecznika o dziewczynie porwanej i o Jaśku goniącym za nią, a szły zawżdy przez zamek wawelski i dopiero przez króla do ucha Wojsława i jego zbiedzonej małżonki dochodziły.

Sprawą oną sam pan miłościwy się zajął a tak głęboko do serca swojego ją wziął, jakby ona równie mu bliską była, co i rodzicom Helżbietki. Ale wiernego sługę wiernie miłował pan, krom tego oburzon był wielce na śmiałość krzyżacką, nie tylko w czci nie mającą honoru niewieściego, lecz nawet należnego dla majestatu szacunku. A wżdy to niebywała rzecz w Polszcze, tak bezecnego gwałtu dokonać pod okiem królewskiem i grodzką przekupić straż i umknąć z grodu. Małać pociecha, że on Niemiec sprzedawczyk, pilnujący wrót zamkowych, na rynku miejskim głowę dał i wisiał tak długo, dopóki wrony i kruki suchych nie ostawiły piszczeli, ale znać takich Hansów Bayerów w Krakowie i poza Krakowem sporo było: mówiły o tem wieści dochodzące do uszu królewskich nieprawdopodobne a prawdziwe, niewiele nadziei a więcej trwogi i niepewności przynoszące.

Bo jakże inaczej oną Wolfframową ucieczkę zrozumieć? jak on mógł tak bezkarnie ujść pogoni, a wżdy przez polskie pola, przez polskie przebiegał wsi, gdzie niktby mu ratunku ni opatrunku w razie nagłej przygody nie dał, a przecie mu i na jednym nie pędzić koniu, trwogę pościgu za sobą mając i niemiłosierny miecz Jaśka? A przecie całą ziemię krakowską przebieżał i na Śląsko wpadł, a według wieści, dostarczonych na rozkaz królewski, zmieniał się koń pod nim i bezpiecznych nie brakło noclegów, choć Jaśko na śladach był zawsze i niemal na pięty mu następował i miał przed sobą otworem stojące dwory ślacheckie, w zanadrzu list króla, by wszelka dana była mu pomoc. Widno z tego, że Zakon w Polszcze całej swoich przyjaciół a zaufanych miał; że szpiegowie gęsto w dziedzinie Piastów się rozsiedli, a nie po to tylko, by takim Wolfframom pomagać, lecz inne a ważniejsze cele na myśli mając. Znać szeroko rzucili sieć, a mocne były te niewody niemieckie.

Zasępiło się czoło królewskie, a w sercu pańskiem gniew urósł.

Codziennie nawiedzał dom Wojsława i jako mógł pocieszał. Do mistrza Zakonu wysłał posły nawet ze skargą a groźbą nieukrywaną, ale choć pan miecznik za oną łaskę królewską dziękował, choć pani miecznikowa na chwilę otulała się w łzach, zbolałe serca nie dawały przystępu nadziei, a myśl, jaka nieraz przez oczy wyjrzała, mówiła o trwodze śmiertelnej i strachu śmiertelnym.

— W Bogu nadzieję mam — król pocieszał.

— I ja mam — odpowiedział głosem cichym pan miecznik.

— Wróci córa twoja — wróci! — prawił król.

— Wróci... — dokończał miecznik — i czoło mu bladło.

Rozumiał król tę nagłą bladość czoła, z którego wyczytywał niedokończone pytanie:

— Jaka wróci?

Na to odpowiedzi nie było, pociechy żadnej nie było.

Tyle przewiało burz nad czołem pana miecznika, tyle zawodów a nieszczęść doznał w długim żywocie swoim, a żadne z nich takiemi nie zaznaczyło się bruzdami; tyle ciężarów na barkach swoich dźwigał, a żaden z nich tak bark rycerskich nie ugiął, jako to brzemię. Aż król się przeraził, tak szybko włos pana miecznika siwizną się okrył, tak pierś zapadła, tak skronie w dwa ciemne zarysowały się talary. I oto zauważył dziś, jak nogami powłóczył i o próg zawadził; jak z wysiłkiem tarczę na kołku zawieszał, jak piersią grał, gdy po schodach do komnat królewskich zaszedł. Przyszedł po wieści o dziecku, a cóż mu król mógł powiedzieć, jeżeli nie to jedno jedyne słowo pocieszenia:

— W Bogu nadzieja!...

Nie powtórzył już dzisiaj tych słów za królem pan miecznik — znać było, że miejsce wiary zwątpienie zajęło. A pani miecznikowa nikła jak cień, jeno grób przed sobą widząc. Nie szeptała modlitwy, nie szlochała już nawet, — a skądby się łez tyle w tych wypłakanych oczach wzięło? jeno, miasto pacierzy i łez, szept cichy, rzekłbyś bezmyślny, z ust jej płynął.

— Dziecko... dziecko...

I było to stokroć straszniejsze niż krzyk i płacz.

Odpowiedź mistrza Zakonu, która na ręce króla nadeszła, pokorna była a uniżona. Sam wielki mistrz obiecał sprawą się tą zająć i rzecz tę oddać w ręce Trottenberga, który płazem nie puszcza bezeceństw podobnych, choć duże wątpienie miał, by rycerz-zakonnik, takiego się przestępstwa dopuścił. List kończył się zapewnieniem wierności i czci dla majestatu, ale całe inaczej brzmiały ustne relacye Łokietkowego posła. W ziemiach pruskich wrzało jak w ulu; znać było niezwykły ruch wojsk i fortyfikowanie nad Nogatem grodów krzyżackich. W Gdańsku kręcili się posłowie książąt brandenburskich, szczery ślepiec dostrzegłby konszachty i knowania jakieś i wojenne przygotowania. Ale co się nie spodobało królowi, to, że gdy posłowie wracali a na Szamotuły skręcili, z dworca pana Wińcza wyjeżdżało kilka płaszczów krzyżackich, o czem wprawdzie doniósł wnet pan wielkorządzca poznański królowi swojemu, jako o przygodnych odwiedzinach Dytrycha Altenburgskiego. Wspomniał nawet o jakichś zamiarach złych wiarołomnego Zakonu i doradzał, by na baczeniu się mieć. Uczynił-li to z musu, przez posłów Łokietkowych niespodziewanie nagaban, czy z dobrej woli a wierności dla pana — nie wiedział o tem Władysław król, ale wieść ona nie po myśli mu była. Chciał już w spokoju żywota swojego dokonać, ale znać inaczej napisano było w przeznaczeń księdze. Zali-ż ma jeszcze raz za miecz uchwycić i w surmy bojowe uderzyć? Umyślił tedy wiec walny w Chęcinach zebrać i przejrzeć tam serce narodu. A tymczasem biegli i wracali gońce królewscy, ale przynoszone wieści o dziewce Wojsławowej były coraz mętniejsze i niepewniejsze coraz.

Jaśko wraz z Trottenbergiem, Orlikiem i przyczepionym do nich, jak rzep, ojcem Johanem, przebyli Śląsko całe, o Brandenburgią zawadzili, skręcili do ziem Wielkiej Polski, krok za krokiem do granic pomorskich się zbliżając. Z tego półkola, zakreślonego ruchem wężowym, znać było, że Wolffram chciał zatrzeć ślady za sobą, a może czuł pogoń Jaśkową i dla tego w ziemie brandenburskie skoczył, wiedząc, że tam rycerzowi polskiemu nie łatwo będzie języka zabrać, a nawet o bezpieczeństwo żywota własnego dbać musi, i jeżeli na sztych oszczepu nie natrafi, to lekko do ciemnicy dostać się może. Ale nie wiedział snać, że osłoną i tarczą dla Jaśka był Trottenberg. I dla tego nie zapytał nikt: kto jesteście i dokąd jedziecie? i dla tego bezpiecznie pobrzeżem przejechali ziem brandenburskich, minęli Samołęki i zbliżyli się do siedziby pana Wilczodolskiego.

Ta podróż długa, nużąca, przyspieszona, zda się końca nie mająca, zniechęciłaby może niejednego rycerza i zwątpić mu rozkazała o skutecznym celu pościgu; ale ani razu z tropu się nie zbili, było coś zawsze, co mówiło o obecności Wolfframa, dodawało otuchy, podsycało nadzieję, wzbudzało pragnienie zemsty, zemsty okrutnej. Dyszał nią Jaśko i Trottenberg. Każdym z nich inne tylko powodowało uczucie, lecz cel był jeden; schwytać zbereźnika i wyrok niemiłosierny nań wydać. Trottenberg zresztą Jaśka za swojego już miał, a zresztą mu nie o tego polskiego rycerza chodziło i dziewkę Wojsławową, lecz o grzech zakonnika, grzech, dla którego wielki sędzia Zakonu nie znał przebaczenia.

Tak tedy Święca i Trottenberg mieli podnietę w uczuciach własnych. Orlik w niezwyczajności wypadków, Jarmusz w przywiązaniu do wnuka starego wojewody; — to im dodawało wytrzymałości i sił, jak innym rycerzom poczucie pełnionego obowiązku. Ale brat Johan największym wśród nich był męczennikiem.

Bał się Trottenberga, bo ten przez skórę poznawał złodzieja; bał się kasztelanica, który o świętości już jego powątpiewać zaczynał i o mało go na suchej nie obwiesił gałęzi; obawiał się każdego chłopa z kłonicą spotkanego, bo jak złe ziele znali go w Wielkopolszcze całej, gdy z Wolfframem peregrynował, a o nieznaną wówczas jeszcze dziewkę z Komorowa rozpytywał się; zresztą samego siebie się bał, bo raz zełgawszy, łgać musiał do końca, a pierwej czy później, zawdy na onym końcu pętla znaleść się mogła. Ale już od kompanii nijak mu odstać było; trzymać się jej musiał, jak smród knechtów niemieckich, i tłuc się na wynajmywanych kobyłach, przeklinając misyonarską dolę swoją. Daremno, sam na sam z Jaśkiem będąc, tłomaczył mu, że bies żaden Wolfframa już nie zgoni — schwytane echa całe inaczej mówiły, ni razu nie zmylili pogoni, ni razu ślad ucieczki zatarty nie został. Trottenberg był milczący, lecz niemiłosierny w prześladowaniu winowajcy.

— Nie umknie — odpowiadał na pytania — choć mu pomagają *nasi*, gęsto po ziemi polskiej rozrzuceni".

Jaśko dowiedział się teraz, jaką siecią zwartą okryta była ziemia Piastów, jak nic nie uszło uwagi tych „naszych", jak dobrze znali każdą ścieżynę, każdy kamyk przydrożny, jak wszędzie mieli swoich ludzi i konie i wozy. Nie chcąc, stawał się świadom wszystkiego, a nie mógł do Trottenberga zwrócić się i rzec:

— Na co wywnętrzasz się przedemną, wżdy nie wasz jestem?....

Pomoc tego krzyżaka potrzebną mu była — tu chodziło o los Hełżbietki, o znieważony jeden dom polski.

Trottenberg nie zaprzestawał pogoni, zmieniano konie, spano niewiele, odpoczywano krótko. Na nagabywania księdza, aby przyzostać i folgę zmęczeniu dać, Jaśko odpowiadał:

— Albo to ciągnę ciebie?... ostań, jeśli chcesz?

Na to brat Johan w łeb się tylko drapał, i sapiąc, klnąc a stękając gonił za wszystkimi, śladami dawnego przyjaciela swojego.

Nie zauważył nikt, że gdy Samołęki mijali, człek jakiś przyłączył się do nich i choć do kompanii się nie wmieszał, podążał za nią o jakieś kroków pięćdziesiąt. Był to mąż podeszły już w latach, ślachecki kubrak na sobie miał, wąs siwy, spadający ku dołowi, a suchy był, jak wiór wygrzany na słońcu.

Kompania Jaśkowa z niezmęczonym Trottenbergiem na czele, zbliżała się do Wilczych Dołów pana Jacka. Wieś położona była w kotlinie niewielkiej, osłaniały ją wierzby i grusze, a teraz i mrok nadchodzącego wieczora ocieniał. Konie były znużone śmiertelnie, potrzebowały spoczynku i pokarmu, według zaś zabranego języka stąd w bliskości nie było: godziło się więc pofolgować zwierzętom, bo kto wie, jak długo jeszcze pościg trwać będzie, spotkany zaś żebrak przydrożny widział rycerza krzyżackiego, który unosił pannę jakąś. Panna była piękna i młoda, jeno biała okrutnie; oczy miała czarne i rozszerzone bardzo, patrzyła przed siebie, przytrzymywana lewem ramieniem rycerza, który kierował się ku Wilczym Dołom, miedzami pól ornych, obrzeżem lasów, rozpadlinami wądołów dzikich, jako to czyni zbój każdy a człek nieczystego sumienia. Siny był koń pod nim, lecz znać daleką podróżą znużony; rozdętemi chrapami powietrze łapał, poplątywał nogami nieco, mydłem ociekał, nieczuły już na ostrogi i nawoływania.

Cennne to były wskazówki, lecz nie przydały się na nic poszukiwania wszelkie, w wąwozach i lasach blizkich czynione.

Wolframa nie było.

Tu i tam zauważono ślady kopyt podkutych, lecz je wnet grząskie pochłonęły pukradła, a zresztą wieczorny cień spływał i dalszym promieniom kres położył. Miano o noclegu pomyśleć.

Ale gdzie noc spędzić: na polu szczerem czy w lesie?

— Zdradzi nas rozpalone ognisko, wyda rżenie koni — rzekł Trottenberg.... A czucie mam, że napotykamy się na grzesznika.

Jaśko wpatrzył się w mówiącego.

— Przeczucie macie?

— Znam zapach własnej skóry.

— Przydałaby się chata — wtrącił brat Johan.

— Pana Jacka dom blizko — Trottenberg na to.

— Nasz-że to szlachcic? — spytał ksiądz — i skrzywił się.

— Jeden z tych, co nam służą — odpowiedział sędzia.

Cień jakiś przebłysnął przez twarz kasztelanica.

— Jeden z tych, co nam służą — szeptał do siebie. — Służyli wam i Święcowie i jako psi na barłogu pomarli. Służba u was to przekupstwo i zdrada, to podłość i grzech śmiertelny, to zaparcie się wszystkiego co ludzkie i Boskie jest....

O mało nie krzyknął w głos, tak go coś wedle serca zakłuło, ale gwałtownie psy zaszczekały, ujadać poczęły i wyć. To wjechano w bramę dworu pana Wilczodolskiego.

O kroków kilkadziesiąt od nich zatrzymał się on człek, który od Samołęk jechał za nimi. Nie zbliżył się jednak, lecz się i nie oddalił. Wjechał na podwórko pierwszej z brzega chałupy kmiecej i już tam został.

Zdawało się, że pan Wilczodolski stropił się nieco, kompanię tak liczną u siebie zobaczywszy. Zmieszanie dziwne a niepokój znać w fizyonomii jego było; z podełba na Święcę spojrzał, na Trottenberga zezem rzucił, na księdza Jahana się wypatrzył. Ksiądz brwi do góry podniósł a tłuste palce na żywocie nabożnie złożył. Westchnął, jako baranek niewinny, a potem uśmiechnął się i rzekł:

— Co łaska, dobrodzieju — co łaska!... Dzbanuszek piwa, sera krajanek dwie, może być i masła osełek i kaszka w kapuście, kurczak jaki taki na ząb, knedelek z wędzonką i jajami, mleka zsiadłego odrobinę — i jak — dla mnie to dosyć....

Wilczodolski uprzejmie przyjął gości niespodziewanych. Znać jednak było, że w sobie jakiś niepokój nosił, co chwila na Święcę patrzał, czerwieniał dziwnie, gdy zaskrzypiały krokwie na dachu, zdawało się, że nasłuchiwał, ale nikt okrom księdza Johana uwagi na to nie zwrócił.

Po wieczerzy gospodarz sam odprowadził gości a ławy wskazywał, gdzie mieli ledz. Zmęczenie okrutne znać było na twarzach wszystkich, każdy co rychlej do snu się zabierał, a ojciec Johan, gdzie jeno siadł, to żydy woził, nawet Orlik młode kości wyciągał i ziewał. Kleiły się do snu i koralowe powieki Trottenberga, lecz wpierw pewną liczbę pacierzy odmówić musiał, zanim do spoczynku się zabrał. Jaśko wyglądał, jak człek chorobą storturowany, oczy zapadłe miał, policzki wychudłe, pergaminową barwę skóry, usta skrzywione bólem jakimś wewnętrznym.

Znać Wilczodolski znaczną personę w Trottenbergu dopatrzył, bo osobną izbę mu dał, w której przedsieniu wnet straż z dwóch knechtów stanęła, Święca zaś wraz z księdzem Johanem i Orlikiem pokotem w izbie sąsiedniej na ziemi się położyli, bo tylko czteroizbowy był dom pana Wilczodolskiego, pośrodku dużą sienią przedzielony, mającej po drugiej stronie jedną gospodarską komnatę i drugą mniejszą, w której stara ochmistrzyni mieszkała. Gdy gospodarz gości swoich żegnał i dobrej nocy im życzył, ukradkiem w łokieć księdza Johana uszczypnął i szepnął:

— Gdy pośpią się, zajdź do mnie. Izba moja przez sień jest. Kaganka nie zgaszę.

— A czego to on chce odemnie — szepnął do siebie ksiądz Johan.

I uczuł taki strach a niepokój, że choć dwór cały usnął, on oka zmrużyć nie mógł, niedobre jakieś przeczucie mając.

Przez drzwi słychać było przesuwanie paciorów różańca i pomruk pacierzy Trattenberga, ale wkrótce i ten szept modlitw ustał. Orlik spał, — zda się, że i Jaśko się zdrzemnął. Cisza rozsiała się po dworcu całym, miesiąc za lasami zachodził i blado oświecał świat; drzewa szumiały cicho, kiedy niekiedy psy warknęły — i umilkły. Mokre niziny posnuły się mgłami białemi, z których wyzierały wierzby palczate, jakby okrutne dłonie mar, ku niebiosom wyciągnięte.

Cisza — słychać oddechy śpiących, charkot krtani, albo brzęk toporzyszcz straży.

Brat Johan podniósł się i nasłuchiwać zaczął, a lękając się tchu własnego i obawę mając, by Jaśka nie rozbudził, poraczkował do drzwi, co mu się całe dobrze udało. Drzwi lekko skrzypnęły, lecz nie poruszył się nikt. Naprzeciw, w izbie Wilczodolskiego, przez szpary w deskach, różowe przebijało się światło. Znać czuwał i oczekiwał na księdza.

Jaśko nie spał. Słyszał jak ksiądz Johan poruszył się, widział jak poraczkował i za drzwi się wysunął, a choć mu niezrozumiałe manipulacye one były, nie spytał księdza, dla czego tak tajemniczo z izby wypływał, sam w rozgorączkowanych myślach tonąc a mar pełnych. Wiedział, że niezbyt daleko od Wilczych Dołów Podkamień się znajduje, a dalej granica pomorska i Jasiniec. Ile rajskich i bolesnych wspomnień razem!... aż łkanie w piersi swej stłumić musiał, by w głos nie ryknąć. Jak żywa stanęła mu Helżbietka przed oczyma, zapatrzona w wiadro wróżebne, z pałającymi rumieńcami na jagodach, na uroczy zjaw czekająca. Jak serce jej biło, jak gorąca przepływała krew przez to serce!.. Jezu! Jezu! ile marzeń wtedy przez jedną chwilę uścisku się przesunęło; jaki czar z ich dusz się wylewał, niby z dwóch dzbanów, najprzedniejszymi klejnotami zdobnych, złoty, wonny miód lipiec.

(Ciąg dalszy nastąpi.)